

KOLOS

Trochę ilustrowany magazyn
ogólnohumanistyczny
o subtelny zabarwieniu
filozoficznym



NR 2-3/2003

OLSZTYN 2003

Spis treści

3-5 **Wstępniak:** *Po co? czyli sztuka dla sztuki*

5-6 **Lubię na Boku:** *Rynek dobra i zła. Problem wartości.*

6-11 **Do poduszki raczej nie:** *Hiszpania przeciw rozumowi*

11-13 **Młotem w elektron, czyli filozofia i jej córy:** *Jaki piękny złom po sobie
zostawimy... czym u licha są fale W*

14 **Coś jakby recenzja:** Umberto Eco

15-16 **Modus pytania i odpowiedzi:** *Pytania o fenomenologię*

16-20 **Symposium:** *Esej o emancypacji rozumu. Zarys historyczny.*

21-25 **Beczka Diogenesa. Pogięło?:** *Ja podniecony kretyn...*

25-27 **Warto-nie warto:** *Dialektyczna recenzja muzyczna*

27-**Inna forma:** *Grupa poetycka „Zawrat”*

28 **Recenzja:** Halldor Lexness „Dzwon Islandii”

28-31 *******:** *Turcy, Arabowie, Tatarzy w oczach Polaków w II połowie XVI w.*

W razie pojawienia się potrzeby nawiązania kontaktu z redakcją, nie musi to być nawet
zniewalająco silna potrzeba, można ją zrealizować za pośrednictwem poczty elektronicznej
(adres e-mail: fromm23@o2.pl ewentualnie: guttol@o2.pl), lub pozostawić korespondencję
sygnowaną „Modus” w uniwersyteckich księgarniach na parterze budynku Wydziału
Humanistycznego przy ul F.Szrajbera, albo Wydziału Pedagogicznego – ul.B.Głowackiego
17

Po co ?, czyli: sztuka dla sztuki

O to po raz drugi w swych krótkich dziejach „Modus” ma zaszczyt być oddany do rąk czytelników. Po raz drugi i – w tym roku akademickim – ostatni. Na horyzoncie sesja, a po niej – jakby nie wypadła – wakacje. Stąd niniejszy numer „Modusa” jest grubszy nieco od poprzedniego (chciałem użyć określenia: grubszy niż zazwyczaj, ale bardzo krótkie, jak dotąd, dzieje naszego pisma, nie pozwalają mówić o jakimkolwiek zwyczaju), zawiera więcej tekstów i liczymy go podwójnie (to znaczy jako numer drugi i trzeci zarazem). Jak zatem wynika z niezbyt skomplikowanej arytmetyki, w październiku ukaże się już czwarty numer – takie mamy plany i wielką nadzieję, że uda się je zrealizować, chociaż nigdy nic pewnego na temat przyszłości w zasadzie powiedzieć nie można. Trochę nieprecyzyjnie się wyraziłem – są różne stanowiska epistemologiczne w tej sprawie, a swoją drogą, jeśli uczyni się założenie, że uzyskanie pewności, formułowanie sądów i stwierdzeń pewnych jest możliwe, to nie można wykluczyć, że niektóre z nich mogłyby dotyczyć przyszłości. No chyba że z jakichś powodów takie wykluczenie jest konieczne – istnieją wszak stanowiska epistemologiczne, które takie ograniczenie wprowadzają. Rzecz jest ciekawa i z pewnością niełatwa do rozstrzygnięcia, dotyczy bowiem fundamentalnych zagadnień epistemologicznej teorii kryteriów poznania, zwanej niekiedy kryteriologią, oraz ma swoje odniesienia wykraczające poza teorię wiedzy i poznanie. Chciałem wyrazić całkiem w zasadzie nieskomplikowaną myśl, którą można streścić następująco: najprawdopodobniej następny numer „Modusa” ukaże się w połowie października, a zacząłem się wikłać w złożone problemy teoriopoznawcze. Tym razem jednak był to zabieg celowy, miał pokazać, że jeśli się będziemy pod tym kątem akurat uważnie rozglądać, wszędzie i w każdej chwili możemy się doszukać jakichś związków z filozofią, czy też mniej rygorystyczną pod względem ścisłości metodologicznej „filozoficznością”. W ten sposób próbowałem jakoś ripostować zarzut (choć może „zarzut”, to za dużo powiedziane, raczej sugestię, uwagę), z jakim spotkałem się raz czy dwa po ukazaniu się pierwszego numeru „Modusa”, mianowicie, że jest mało filozoficzny, czy raczej – tak bym to rozumiał, ponieważ w porównaniu z innymi studenckimi pismami, albo w ogóle takimi, które nie są typowo naukowe i w tym znaczeniu (filozofii tylko jako dyscypliny naukowej) filozoficzne, czyli nie takimi, jak choćby „Principia”, treści z „Modusa” mają przecież filozoficzny lub „filozofujący” charakter – zbyt mało filozoficzny. Byłoby to poważne niedociągnięcie, a nawet nietakt, gdyby w istocie „Modus” nie był filozoficzny – wszak towarzyszy on funkcjonowaniu Koła Inicjatyw Filozoficzno-Społecznych i Koła Naukowego Filozofii, działających pod auspicjami Instytutu Filozofii UW-M. Instytut pomaga ukazywać się „Modusowi” – pomaga kierownictwo, pracownicy, nieocenioną pomoc i życzliwość okazały nam Panie pracujące w sekretariacie Instytutu Filozofii zlokalizowanego (tak Instytutu, jak i sekretariatu) przy ulicy K.Obitza, raduje nas życzliwość Pań bibliotekarek z instytutowej Biblioteki. Chcemy przy tej okazji bardzo podziękować za okazywaną „Modusowi” pomoc i życzliwość, tym bardziej, że – choć użyłem sformułowania „okazaną Modusowi”, to przecież przejawia się ona w pomocy i życzliwości okazywanej nam – zespołowi redagującemu. Dzięki życzliwości i pomocy Władz UWM „Modus” może poprawić swój wygląd, jako że będzie odtąd za sprawą finansowego i moralnego wsparcia Władz naszego Uniwersytetu drukowany w Drukarni Uniwersyteckiej, a nie jak dotąd w Instytucie dysponującym pod tym względem bardzo ograniczonymi możliwościami technicznymi. Przyznajemy, że życzliwość i pomoc, z jaką się zewsząd spotykamy zaskakuje nas, ale ogromnie cieszy. Warto przeżyć takie zaskoczenie, bo jest bardzo miłe. Podziękowania powtarzamy jeszcze na ostatniej stronie, bowiem – póki co – wciąż nie jest ich zbyt wiele. A wracając do kwestii filozoficzności „Modusa”, która jest wobec powyższego czymś naturalnym, to muszę jeszcze nadmienić, iż dotarły do mnie także opinie, wedle których zabarwienie filozoficzne „Modusa” jest właśnie wyważone i odpowiednie, jest charakterystycznym rysem pisma, a nie obciąża go ponad miarę. Wyznać muszę, że osobiście wolę słuchać takich opinii, ponieważ zawsze milej jest człowiekowi, gdy słyszy, że coś co zrobił jest świetne, niż że jest nienajgorsze. To jeśli idzie o kwestię samych założeń programowych „Modusa”, czy może – bo i tak można twierdzić – ich braku. Nie wszyscy zgadzają się z moim osobistym poglądem, że mglistość tychże założeń programowych nie jest wadą i przejawem nieporadności, tylko atutem i całkiem udanym pomysłem. Coś mi się zdaje, że dojdzie w związku z tym w przyszłości do dyskusji na temat założeń programowych „Modusa” i trochę się tego obawiam, chociaż moi redakcyjni koledzy zdają się tych obaw nie podzielać. To dobrze – w czasie kiedy jeden się obawia, inni mogą zająć się czymś konstruktywnym. Sporo też zależy w tej materii od odbiorców, czytelników, od tego, czy „Modus” im się podoba i czy spełnia choć po części oczekiwania. Jako porządny megaloman muszę w tym miejscu dodać, że pierwszy numer naszego pisma – już nie idea sama, ale konkretny jej wyraz – spotkał się z przychylnością i otrzymał sporo pochwał, natomiast tylko jedna dotycząca go opinia, jaka do nas dotarła dostrzegała „braki języka i słownictwa”, czy jakoś tak, przy czym właściwie nie bardzo zrozumiałem o co w tym chodziło, toteż nie mam jak na razie pomysłu, jak te słabości wyeliminować. Koledzy też nie wiedzą, ale jeszcze się zastanowimy. Inne krytyczne uwagi dotyczyły szaty graficznej. Rzeczywiście pozostawia ona do życzenia, jesteśmy tego świadomi, niestety na razie

ograniczenia natury technicznej nie pozwalają jeszcze wprowadzić ulepszeń w tej materii, co widać i w niniejszym numerze. Może w przyszłości uda się uczynić szatę graficzną „Modusa” atrakcyjniejszą. Ja wciąż o tej przyszłości, zupełnie tak, jakbym zapomniał to, co na ten temat napisałem na początku tego tekstu, a przecież pamiętam o tym. Tyle tylko, że deklaracje typu: „postaramy się być jeszcze lepsi” z natury swej muszą odnosić się do przyszłości. I z natury swej są obwarowane licznymi warunkami i założeniami. A założenia – jak się wydaje, mają ze swej z kolei natury charakter hipotez, choć czasem bywają traktowane (lub mistyfikowane) w taki sposób, jakby były czymś więcej. W fenomenologii na przykład jedna z wytycznych, głównych tez traktuje o bezzałożeniowości. Dotyczył tego jeden z punktów interesującego wykładu, którym profesor Józef Dębowski zaszczylił promocję pierwszego numeru „Modusa”, która odbyła się piętnastego maja (a piętnasty maja to imieniny Zofii, zaś jak powszechnie wiadomo „sophia” znaczy z greki: mądrość. Atrakcyjnie się zatem złożyło, chociaż, jak się później okazało, nie wybraliśmy najlepszego z możliwych dnia na promocję, mimo że imieniny mądrości. Przyznajemy się ze skruchą, pełni zdrowej samokrytyki, że przygotowując promocję pierwszego numeru „Modusa” popełniliśmy masę błędów „marketingowych”. Cóż – z „marketingowym” myśleniem u nas jak widać gorzej). Ponieważ wykład był, jak wspominałem, bardzo ciekawy, choć trudny – to nie tylko moje odczucie, ale i niektórych innych uczestników promocji, niewiele bowiem wiemy o fenomenologii i dlatego odbiór dotyczących jej treści sprawia pewne trudności, toteż postaramy się w „Modusie” zmierzyć się z owymi trudnościami. I jest spora szansa, że się to uda, jako że Pan profesor J. Dębowski dał się nam poznać jako – chyba nie popełni nadużycia tak to formułując – wielkim przyjacielem naszego pisma. Zatem zamierzamy przybliżyć na łamach „Modusa” fenomenologię, zadając Panu profesorowi szereg pytań o nią (np. mnie interesuje między innymi, czy można bezzałożeniowość podejścia fenomenologicznego potraktować, jako jego założenie i ewentualnie jakie to ma konsekwencje ? Czekamy również na pytania od czytelników „Modusa”, przy czym bycie czytelnikiem nie jest warunkiem koniecznym do tego, by zadać za naszym pośrednictwem pytanie o fenomenologię. Byle nie brzmiało ono: „czy warto czytać Ogrodnika ?”). Ale ja znowu albo o przeszłości, albo o przyszłości. No dobrze, będzie o teraźniejszości, czyli o niniejszym numerze „Modusa”. Chociaż o teraźniejszości trochę też, jako że pierwsza odpowiedź już w tym numerze.

W tym numerze przeczytać można między innymi: drugą część tekstu o koncepcjach roli umysłu jako narzędzia poznania („Piękny umysł”), kolejne rozważania fizyka o relacjach zachodzących między naukami szczegółowymi a tą najbardziej ogólną i pewnymi jej powiedzmy „mistyfikacjami” w kierunku na przykład ideologii – dziś konkretnie o tym, co ma technologia do nauki. To w cyklu: „Młotem w elektron, czyli filozofia i jej córki”. Rubryka „Lubię na boku” także jest jak najbardziej cykliczna, więc i tym razem nie pozostała pusta. W „Beczce Diogenesa” można przeczytać o tym, jak to czasem nieopatrne rzucenie okiem na telewizyjny ekran może uczynić z osobnika albo zażartego opozycjonistę, albo potrawę. Mamy też arcyciekawą i przystępnie napisaną charakterystykę filozofii hiszpańskiej, która nota bene wyszła spod pióra jednego z największych polskich znawców tego zagadnienia – „Hiszpania przeciw rozumowi” w niniejszym „Modusie” w cyklu „Do poduszki raczej nie”. A w dzieje udajemy się tym razem, by spojrzeć, jak to niegdyś pewni bardziej oświeceni przedstawiciele polskiej szlachty mówili, myśleli i pisali o „innych”, konkretnie Turkach i Arabach. Do tego jeszcze kolejna porcja poezji – wiersze Jarosława Żejmo z grupy poetyckiej „Zawrat” (wcale mnie nie dziwi, że ich poezja jest wysoko oceniana) i nie tylko, również trochę innego stylu w poezji – podwójny numer, więc wierszy jest trochę więcej. Kiedyś w rocznicę śmierci Rilkego, Heidegger wygłosił odczyt: „Cóż po poecie ?” – wspominam o tym, aby nie było wątpliwości, czy te wiersze w „Modusie”, to aby wystarczająco filozoficzne jest. Ponadto w bieżącym numerze recenzja książki, należącej do mało u nas popularnej literatury skandynawskiej. Może mało popularnej dlatego, że słabo znanej, reprezentującej pewien odmienny obszar kulturowy. Mamy jeszcze recenzję poświęconą innej niż słowo i to słowo pisane, formie ekspresji – mianowicie muzyce. Ewentualny zarzut, że to zbyt mało filozoficzna tematyka odpieram natychmiast w dwóch słowach, o ile spójnik i zaimki to słowa, chociaż wydaje się, że tak, bo niby czemu nie ? A oto te słowa: A Wagner ? I to jeszcze nie wszystko, co zawiera ten numer „Modusa”, ale nie będę opisywał wszystkiego, aby nie tłumić właściwej myślacemu człowiekowi ciekawości. Proponuję nie sugerować się zresztą moimi opisami, a raczej przeczytać i samemu ocenić, zaopiniować, zgodzić się lub skrytykować, przedyskutować z sobą albo z kimś. To sprawi, że będzie nam bardzo miło i w dodatku osiągniemy dokładnie tyle, ile byśmy chcieli.

Jakiś mało filozoficzny wyszedł mi tym razem niniejszy artykuł wstępny. Mało filozoficzny, a znów nieprzyzwoicie długi. Może spróbuję go na zakończenie troszkę „ufilozoficzyć”, przez co jednak nie uczynię go krótszym, a zgoła przeciwnie. Głęboka myśl, że jak się coś dopisze, to tekst będzie dłuższy, raczej marnie wróży próbie „ufilozoficznienia” tego artykułu, ale i tak spróbuję.

Wyjrzałem przed momentem przez okno i zobaczyłem piękny, złocący się Księżyc w pełni. Czy można zapytać: po co księżyc ? Niby można, bo trudno znaleźć coś, co czyniłoby to pytanie niemożliwym. Ale równie trudno doszukać się czegoś, co usprawiedliwia takie pytanie. Można opisać Księżyc, można go też próbować wykorzystać, podobno ktoś tam sprzedawał już działki na Księżycu, choć jakoś nie bardzo pojmuję, jakim prawem to czynił. Przyjęło się, wyliczając funkcję nauki, wymieniać między innymi: deskryptywną, czyli opisową, hermeneutyczną (którą czasem określa się mianem rozumiejącą), praktyczną. Filozofię można starać się uważać za pierwszą z nauk, choć nie jest to jedyny możliwy pogląd w tej sprawie, niektórzy twierdzą, że

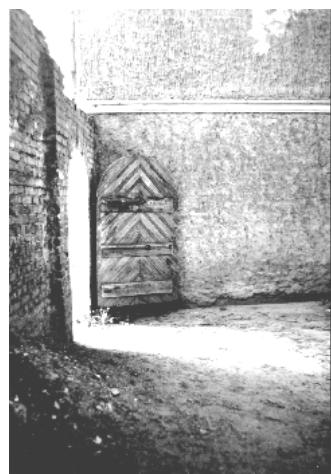
najwcześniejsza filozofia była jeszcze przednaukowa, a naukowość jej pojawiła się po wyodrębnieniu innych nauk. Gdyby na chwilę przyjąć to drugie ujęcie, można dojść do hipotezy, iż filozofia wykorzystuje aparat opisowy i przygotowane opisy innych nauk, np. matematyki, psychologii, biologii, fizyki, koncentruje się natomiast samodzielnie już i twórczo na zmierzaniu do zrozumienia. To z kolei wymaga, by pod uwagę brać wszystkie możliwości, ale pytanie „po co ?” chyba zostawia się na zupełny koniec, jako to pytanie, które wcale nie jest najważniejsze, może nawet wcale nie jest ważne. Ukierunkowanie na zrozumienie zawsze może samym sobą odpowiedzieć na owo pytanie i tu może jest wielkość dążenia do zrozumienia. Demokryt rozróżniał pytanie „dlaczego ?” od „po co ?”. W istocie – na pierwszy rzut oka bardzo bliskie sobie pytania, a przecież na dobrą sprawę pytania o dwie zupełnie różne sprawy. Przy czym pytanie „dlaczego ?” musi mieć, jak się wydaje jakąś odpowiedź, natomiast „po co ?” chyba nie musi. Rozumienie nie jest koniecznym warunkiem ani dla opisu, ani dla tworzenia praktycznych zastosowań, być może nawet rozumienie jest samo w sobie apraktyczne. Jednocześnie wydaje się być ono koroną poznania. Bowiemy można chcieć zrozumieć, by zastosować, albo można chcieć zrozumieć, by opisać, ale można nie rozumieć, a i tak do pewnego stopnia z powodzeniem opisać lub zastosować (przy swoistym rozumieniu słowa: powodzenie). Jednak można chcieć zrozumieć dla samego przede wszystkim zrozumienia i to wydaje się być najwyższą arystokracją poznania, najszlachetniejszą jej warstwą, wyrażającą się dziwnym trafem w tym dekadentckim hasle: „sztuka dla sztuki”.

No dobrze, tyle „ufilozoficzniana wstępniaka”. Zapraszamy do lektury „Modusa” i mamy nadzieję, że będzie się podobał. Życzymy udanych sesji i wakacji. Do następnego - czwartego numeru, który ukaże się w październiku. Chyba będziemy wówczas próbowali zabezpieczyć regularność pojawiania się kolejnych numerów „Modusa” jako najprawdopodobniej dwumiesięcznika. Ustabilizujemy też objętość i polepszymy szatę graficzną, a jednocześnie zachowamy chyba bezpłatność pisma. A na zupełny już koniec żarcik: jak się nazywa krawędź paczki zawierającej pięćset kartek papieru ? Ryzykant. Również ten żarcik uchronię przed zarzutem o brak filozoficzności: przecież zawiera słowo: Kant. I jeszcze przepraszam, że się tak rozgadałem.

Cg. Cenzor

LUBIĘ NA BOKU

W poprzednim, promocyjnym, premierowym numerze „Modusa”, czyli trochę ilustrowanego magazynu ogólnohumanistycznego o subtelnych zabarwieniach filozoficznych, zaprezentowałem Wam (jeżeli takowi istniejecie, bo przecież można czytać coś pomijając coś, więc czemu nie pominąć w czytaniu „Modusa” działu „Lubię na boku”, którego jestem autorem) pracę moją (moją? – przecież lubię na boku) autorstwa. Tematyka tej pracy jest Wam znana (chociaż spis treści liźneli Ci, którzy nie lubią „Lubię na boku”), więc nie będę jej streszczał (dla tych, którzy są chętni się dowiedzieć o czym mówię to zapraszam do lektury!). Nie jest to manifest. Ale sposób na patrzenie przekazu, o charakterze manifestu z boku.



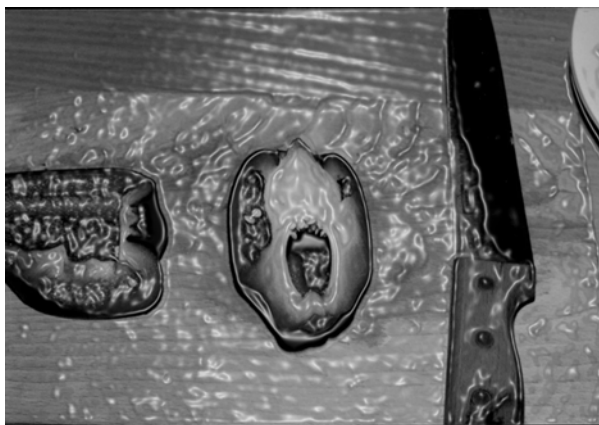
Sama idea działu „Lubię na boku” jest wynikiem działania różnych podmiotów (niekoniecznie zdających sobie sprawę z tego co ja pod tym zdaniem rozumiem – a nawet nie zgadzająca się z tym, co ja rozumiem przez „rozumieć”). Kulminacją, tego co stanowi treść działu „Lubię na boku”, czyli postanowienia, że takowy dział pojawi się w czasopiśmie „Modus”, jest pewne spotkanie z jego redaktorem w pewnej przytulnej norce, o zakotwiczonej nazwie „Pod kotwicą”. Nie miejsce (w sensie działu) na streszczanie tego przy jakich przedmiotach się siedziało, i czym chłodziło się nasz obustronny entuzjazm zdeterminowany świadomością chwili jaka za moment ma się stać faktem – czyli o powstającym mentalnie planie czasopisma, którego drugi numer zawiera treści obecne ale bynajmniej wspomnieć o tym należy (choćby po to, by nasz Cenzor także wypowiedział się w tej sprawie). Tyle, z mojej strony, o tym co nazywamy „Lubię na boku” (w sensie formalno – postanowionym, czyli istniejącym w tzw. supozycji formalnej).

Teraz chciałbym trochę napisać dlaczego nazwa jest taka (a zapewniam, że to nie przypadek). Przyczyn jest wiele, z części nich nawet nie zdaję sobie sprawy (tę działkę zostawiam komuś, kto czyta nasze „czasopisiemko”, i kto zajmuje się również tzw. psychologią głęboką, tudzież psychoanalizą – byłbym takim jednostkom bardzo wdzięczny za wyjawienie moich nieświadomości - może swobodną wypowiedzią na kartach naszego czaso...pisiemka?). Do rzeczy. Myślę, że jedną ze stron naszego życia w społeczeństwie jest to, co nazywamy niezgodą na to, co owe proponuje. Otóż zwykło się – mentalnie w umysłach ludzkich, lub też w teoriach naukowych – taką postawę sprowadzać do nieszkodliwej. Mechanizmy owego „sprowadzania” są wielobarwne. Jednym z nich jest ostracyzm, czyli takie traktowanie odmienca, że zostaje on wyłączony z grona większości – przez siebie nazwanych i ogłoszonych „normalnymi”. Lub też stygmatyzacja – proces naznaczający

jednostkę, opisujący ją przez desygnaty, przez co czyniący ją „nieszkodliwa” – bo opisaną ver. poznaną. Tacy „straceńcy” żyją na boku. Taka sytuacja daje im wiele zmartwień, frustracji, ale przede wszystkim daje im radość owej „poboczności”. Gdyby daną sprawę głębiej przemyśleć mogłyby się pojawić głosy sprzeciwu – „Przecież to co mówisz oznacza, że owa „większość normalnych” jest nienormalna, bo kreuje ową normalność. To czysty relatywizm!!!” - stwierdza. „A czemu nie?” – odpowiadam – „Inność jest innością do czasu, kiedy nie wyraża zgody na to by się pogodzić na to co „normalność” jej proponuje. A co proponuje „normalność”? Bylejakość. Gombrowiczowskie „upupienie”. Życie w stadzie ludzi, którzy traktują siebie jak maszyny do przetwarzania swoich pragnień w fakty. Dlatego ja lubię na boku. Nie przez bierność, ale przez robienie tego co uważam.”

Owa „poboczność” wyraża się również w upartości poznawczo – intelektualnej. „Dlaczego ma być tak jak mówisz? Ja czuję inaczej. Twój pogląd jest Twój, ja mam swój.” Brak porozumienia? Bezkompromisowość? Czasami. A czemu nie? Kim jest jednostka dążąca do globalnego porozumienia; stawiająca kompromis na pierwszym miejscu w swoim krótkim życiu? Wydaje mi się, że taka osobowość jest materią bez poczucia własnej indywidualnej formy. Człowiek bez charakteru? Coś „takoś”. Znam takich wielu, i nie zgadzam się w wielu sprawach, które robią „dla dobra” innych, przez tzw. „kompromis globalny”. Jak pogodzić dwie sprzeczne sprawy: genetyczne prawo do władania własnym życiem (nie narodzonego) a poddanie się kobiecie zabiegowi zabójcy?(przykład jeden z wielu tzw. paradoksów etyki. więcej na ten temat ma do powoiedzenia Mcintarie w „Dziedzictwo Cnoty” BSF, W-wa 1999). Na to znają odpowiedź panowie z KPN-u, ZCHN-u, i innych prawicowych ugrupowań tzw. „politycznych”.

Ostro? Rodzi się nowy radykał? Rodzi się nowy dzień!. A każdy z nas jest promieniem wypełniającym przestrzeń różnych istnień. Więc dlaczego nie sprowokować reszty? Myślących, więc żyjących na obrzeżach zrozumienia przez „normalność”.



Mieczysław Jagłowski
Hiszpania przeciw rozumowi

Tytuł sugeruje, że Hiszpania jest krajem, w którym nie tylko nie ceni się rozumowi, ale że się nawet z nim walczy, że w Hiszpanii przeciwko rozumowi występują nie tylko jednostki – to byłoby normalne – ale że jako kraj wraz ze swoimi władcami, narodem i z całą swoją kulturą Hiszpania jest rozumowi niechętna, a może nawet mu wroga. Niewykluczone, że ten tytuł obraża dumę Hiszpanów – bo czyż nie można pomyśleć, że kto nie chce być rozumny, ten jest po prostu głupi? Owszem, tak można pomyśleć, ale nie pozwalajmy sobie, by taka myśl w naszej głowie pochopnie zaświtała. I mam nadzieję, że Hiszpanie i ich przyjaciele powstrzymają się od gniewu przynajmniej do ostatniego słowa tego tekstu.

Niemniej to prawda, że rozum w Hiszpanii nie był ceniony, w każdym razie nie każda jego postać. Wiemy przecież, że w dziejach Europy i europejskiej filozofii rozum i rozumność były pojmowane niejednoznacznie. Także dzisiaj wielu znajduje ważne racje by stanąć w obronie rozumu, ale także wielu – przeciwstawiając im racje nie mniej ważne i rozumne - w swojej niechęci do rozumu prześcignęło nawet Hiszpanów. A skoro już padły słowa o współczesnej kontrowersji wokół rozumu, to z pewnością już mamy trafną intuicję tego rozumu, którego Hiszpania nie potrafiła długo pokochać. Chodzi oczywiście o rozum nazywany „czystym”. Czystość czystego rozumu, pojęta jako jego autonomia wobec empirii, rodziła z pewnością znacznie mniejszą niechęć, niż jego czystość rozumiana jako autonomia wobec treści religijnych i wobec ludzkiego życia, jako dumne samowładztwo we własnej dziedzinie, jako wyłączone źródło i miara wiedzy. Ci, którzy wynalazek czystego rozumu uznali za wrogi czy wręcz kryminalny akt skierowany przeciw Bogu, naturze, człowiekowi, ludzkości, życiu, wierze, etc., podejmowali nieraz śledztwo, by wytropić winowajcę, aby rzucone na niego brzydkie inwektywy – na które, jak sądzą, uczciwie zasłużył - nie przyłgnęły do niewinnego.

Jedni twierdzą, iż pewnego pięknego dnia rozum wynalazł Sokrates, inni - że to jego uczeń Platon, jeszcze inni, że owym nieszczęśnikiem mógł być Galileusz, Kartezjusz bądź Hegel. Tak czy inaczej, wszyscy wymienieni znajdują się na liście podejrzanych.

Stałym czynnikiem, decydującym o stosunku Hiszpanów do rozumu, była ideologia polityczna ich państwa, które pod koniec XV w. uznało, że Hiszpania jest najlepszą bo najwierniejszą córą Kościoła. Ta myśl stała się fundamentem projektu ustanowienia pod przewodnictwem Hiszpanii światowego imperium katolickiego. Ideologia tego jednolitego światopoglądowo imperium wyznaniowego opierała się na zasadach i wartościach chrześcijańskich, które w owym czasie, do początku wieku XVI, były podstawami wszystkich dziedzin życia w całej Europie - z tą jednak różnicą, że poza Hiszpanią wiara chrześcijańska nie została tak ściśle związana z ideologią państwową. Państwo miało w tych krajach pewien zakres autonomii w stosunku do Kościoła, który interweniując w sprawach wiary nie zawsze mógł liczyć na rzetelną pomoc jego zbrojnego ramienia, a jak wiadomo, Kościół nie pragnie śmierci grzesznika i *abhorret a sanguine*. Hiszpania przez następne stulecia sztywno trwała przy katolicyzmie jako podstawie własnej państwowości, tak iż stał się on wreszcie wyznacznikiem tożsamości narodowej Hiszpanów. Tendencja ta umocniła się zwłaszcza po Soborze Trydenckim. Hiszpania, główna podpora kontrreformacji, przyjęła wówczas na siebie rolę obrońcy czystości wiary i zamknęła się w sobie, usiłując chronić przed obcymi wpływami czystość katolicyzmu. Główny wysiłek hiszpańskiej myśli został skierowany – jak to określa A. del Río - ku „ocaleniu średniowieczyny w nowożytnym świecie” [A. del Río, *Historia literatury hiszpańskiej*, t. 2, Warszawa 1972, s. 197]. Zakres umysłowej wolności jasno wyznaczały także instytucjonalne środki przemocy - Święte Oficjum, indeks ksiąg zakazanych i chroniona przez państwo oficjalna filozofia (owa ochrona miała m.in. formę królewskich rozporządzeń, dotyczących zasad sprowadzania książek z zagranicy i określających zagraniczne uniwersytety, na których Hiszpanie mogą studiować). One zdecydowały także o długotrwałych epokach zamknięcia Hiszpanii na nowe idee filozoficzne.

Rygory krępujące życie intelektualne sprawiły, że hiszpańskie uniwersytety nie stały się ośrodkami stojącymi na straży przestrzegania rzemieślniczych zasad posługiwania się rozumem. Ponadto oficjalni intelektualiści zawsze lękali się o to, by rozwijający się w Europie racjonalizm nie dokonał destrukcji prawd objawionych. Z tych właśnie powodów filozofia hiszpańska ani nie wyrażała się we właściwej dla europejskiej filozofii, systematycznej formie, ani nie była skupiona na rozwiązywaniu zagadnień ściśle teoretycznych (chyba jedynym wyjątkiem jest system Suáreza). Jest ona bliższa archaicznemu ideałowi filozofii jako mądrości praktyczno-życiowej, niż ideałowi filozofii jako wiedzy ścisłej. Charakterystyczne jest dla niej również to, że aż do końca XIX stulecia treści filozoficzne łączyła ona zawsze z teologicznymi - w ten sposób dokonywała się w Hiszpanii chrystianizacja myśli filozoficznej.

Praktyczno-filozoficzna, a nie czysto spekulatywna postawa hiszpańskich filozofów przejawiała się m.in. w ich predylekcji do zajmowania się kwestiami moralnymi. Nie spotykana gdzie indziej, stała i powszechną popularnością cieszył się wśród Hiszpanów mieszkaniec Kordoby - Seneka (niewiele brakowało, by Kościół hiszpański uznał go za Ojca Kościoła). Skąd ta powszechna popularność Seneki? M. Zambrano wyjaśnia, iż bierze się ona stąd, iż Seneka nie dbał o odręszczającą logiczną spójność własnego dzieła i nikomu jej nie zalecał, a także stąd, że proponowana przez niego racjonalność pozwala swobodnie czerpać zarówno z religii, jak i z filozofii. Zasady tej racjonalności nie domagają się ponadto poszukiwania prawdy dla niej samej, nie skłaniają do życia czysto kontemplacyjnego, lecz pozwalają na zaangażowanie praktyczne.

Skutkiem dążenia do chrystianizacji wszelkiej myśli, jaka powstawała w Hiszpanii, był rozkwit literatury religijnej i teologicznej w epoce, w której żyli najbardziej znani hiszpańscy twórcy: El Greco, Lope de Vega, Calderón, Cervantes, Luis de León, św. Teresa z Ávila, św. Jan od Krzyża, F. Suárez. Literatura ta, mimo mocnych związków z religią, nie była pozbawiona walorów filozoficznych (pomijając dzieło Suáreza, ojca drugiej scholastyki, które jest bez wątpienia dziełem *stricto* filozoficznym).

Przykładem dzieła o charakterze filozoficznym, które w tej epoce powstało, nasyconego jednocześnie treściami religijnymi i rozważaniami na tematy teologiczne, ale o formie niczym nie przypominającej wytworów tzw. czystego rozumu, może być „Don Quijote” Cervantesa. Może być ono rozpatrywane jako literacki traktat o ludzkiej egzystencji, ale zawiera także pewne tezy epistemologiczne i metafizyczne, jest literacką ilustracją poznawczego i metafizycznego przeświadczenia, iż rzeczy nie ukazują się nam nigdy takie, jakie są w sobie, lecz tylko jako obiekty włączone w perspektywę naszego indywidualnego myślenia, naszego języka – naszego jednostkowego życia. I właśnie dlatego nie możemy mieć wobec nich żadnej pewności. Przeświadczenia te, wskazując na wagę indywidualnego, życiowego doświadczenia w poznawaniu świata, wyrażają sceptycyzm wobec zasadniczej pretensji racjonalizmu do zdobycia wiedzy pewnej, uniwersalnej i absolutnej.

Zjawiskiem teologiczno-filozoficznym była hiszpańska mistyka XVI wieku, z najpłodniejszym okresem w latach 1560-1600 [*W owym czasie w Hiszpanii opublikowano ok. trzech tysięcy pism mistycznych*], z takimi postaciami, jak św. Jan od Krzyża, św. Teresa z Ávila oraz Miguel de Molinos [Inni, mniej znani mistycy, to m.in. Hernando de Zárata (*Discursos de la paciencia cristiana*), Alonso de Orozco (*Vergel de oración*; *Monte de contemplación*), Francisco de Osuna (*Abecedario espiritual*), Bernardino de Laredo (*Subida al Monte Sión*), św. Pedro Alcantara (*Tratado de la oración y meditación*) Alonso de Madrid (*Arte para servir a Dios*), św. Ignacy

Loyola (Ejercicios espirituales), Diego de Estella (Meditaciones devotísimas del amor de Dios), Juan de los Angeles (Diálogos de la conquista del espiritual y secreto Reino de Dios; Triunfo del amor de Dios), Malón de Chaide, Luis de León (Los nombres de Cristo), Luis de Granada (Símbolo de la fe; Guía de pecadores). Ortodoksyjni mistycy hiszpańscy bywają klasyfikowani według różnych kryteriów, m.in. według przynależności do zakonów, która determinowała w pewnym zakresie ich rozważania i ich wizję naśladowania Chrystusa i służenia Mu; według tego podziału wymienia się zazwyczaj trzy szkoły: franciszkańską, dominikańską, augustiańską. Niektórzy dodają ponadto szkołę karmelitańską i jezuicką. Abellán (Historia crítica del pensamiento español, t. 2, Madrid 1979, s. 304-305) natomiast przedstawia podział następujący: mistycy afektywni, mistycy intelektualni i szkoła eklektyczna albo hiszpańska. Poza tym wyróżnia się szkoły mistyki heterodoksyjnej: mistycyzmu protestanckiego (Juan de Valdés), kwietystyczną (Miguel de Molinos) i szkołę panteizmu renesansowego z Miguelem Servetem jako główną postacią. Korzenie mistyki hiszpańskiej sięgają średniowiecznej filozofii muzułmańskiej i żydowskiej, której istotnym rysem była próba pogodzenia czystej myśli filozoficznej i wiary religijnej, rozwiązania kwestii stosunku rozumu do objawienia. Mistycyzm hiszpański jest także świadectwem odmowy wkroczenia na drogę nowożytnego racjonalizmu. Stał się on w owej epoce hiszpańską filozofią *sensu stricto*. Dzieła mistyków nie tylko bowiem proponowały pewien rodzaj praktyki, ale były także rozważaniami intelektualnymi, mającymi za podstawę teologię i metafizykę tomistyczną. Mistycyzm jest także stanowiskiem metafizycznym, odmawiającym uznania rzeczywistości zmysłowej za jedyną rzeczywistość. A. del Río pisze, iż Hiszpan *poszukuje wyższej rzeczywistości, w której byłoby miejsce dla Boga i dla jednostki ludzkiej, a nie abstrakcyjnego człowieka racjonalistów, w której zmieściłaby się ziemia i wszystkie rzeczy ziemskie – wzniosłe i niskie, brzydkie i piękne – oraz niebo – obraz najwyższego dobra, najwyższego piękna i najwyższej prawdy*[A. del Río, *Historia literatury hiszpańskiej*, t. 1, Warszawa 1972, s. 247]. Ponadto mistyka była próbą symbolicznego wyrażenia indywidualnych doświadczeń, niewyraźnych środkami, którymi dysponuje rozum. Mistycy są wynalazcami sposobów symbolicznej, obrazowej ekspresji stanów duchowych.

Wraz z wygaśnięciem mistycyzmu w XVII stuleciu w Hiszpanii zaczyna się trwająca około dwustu pięćdziesięciu lat epoka upadku wszelkiej myśli. Ten okres intelektualnego pograżenia trwał tak długo, że w Europie upowszechniło się przeświadczenie, że Hiszpanie są pozbawieni docieklivosti i krytycyzmu i nie są zdolni do uprawiania filozofii. W XVIII stuleciu zaczęły do Hiszpanii przenikać francuskie idee oświeceniowe. Wywołały one tylko skromne ożywienie intelektualne, ponieważ spotkały się z silnym oporem tradycjonalistów, którzy w racjonalizmie dostrzegali jedynie czynnik antyhiszpański. Monarchowie popierali zwolenników Oświecenia, ale po zgilotynowaniu Ludwika XVI i Marii Antoniny zwrócili się z przeciw nim z represjami[Dominuje wówczas proste myślenie: co zdarzyło się we Francji, zdarzyć się może i w Hiszpanii; jeśli Francuzi gilotynują królów, to nowoczesna nauka jest błędem i należy pozostać przy scholastycznych podręcznikach z piątej ręki; jeśli jakobini atakują religię, to teokracja jest najlepszą formą państwowości, etc.], które trwały aż do upadku *ancien regime'u* w roku 1812, ale zdarzały się jeszcze w drugiej połowie XIX w. (w postaci np. pozbawiania katedr profesorów uniwersytetu czy zsyłania intelektualistów w takie miejsca, w których nie mogli wywierać zgubnego wpływu na innych).

Pierwszą próbę sprowadzenia do Hiszpanii rozumu z zagranicy – próbę nawiązania kontaktu z kulturą europejską - podjął Julián Sanz del Río (1814-1869), publikując w 1860 r. tłumaczenie pracy *Urbild der Menschheit* (1811) mało znanego epigona Kanta – K.Ch.F. Krausego (1781-1832). Filozofia, którą propagował Sanz, była pewną odmianą racjonalizmu (Krause i Sanz del Río nazywali ją „racjonalizmem harmonijnym”). Nie była to jednak tzw. filozofia czysta, lecz propozycja „filozoficznego” sposobu myślenia i życia, opartego na dyscyplinie moralnej i doskonaleniu intelektualnym. Jako fundamentalny warunek tego stylu życia krauzyści wskazywali wolność jednostki, zwłaszcza wolność dociekań naukowych, wolność sumienia oraz wolność polityczną. Właśnie zaufanie do rozumu, zdecydowanie głębsze niż właściwe dla ówczesnego społeczeństwa hiszpańskiego, a nawet dla jego gremiów akademickich, głównie scholastycznych, dostrzegających w nim źródło zagrożenia wiary i porządku społecznego, jest charakterystycznym rysem tej filozofii. Krauzyści odrzucili powszechnie szanowany w Hiszpanii autorytet tradycji, uznając, iż nie jest ona gwarancją prawdy, lecz może być także źródłem błędów[Intelektualiści katolicy poculi się do tego stopnia zagrożeni złamaniem ich monopolu na prawdę, że posuwali się do niezbyt subtelnej krytyki, sprowadzającej się w zasadzie do obrzucania krauzystów obelgami. Np. w „*Diccionario de ciencias eclesiásticas*” z roku 1888 można pod hasłem „Krause” przeczytać (poza ogólnymi informacjami, iż to filozof pozbawiony talentu i nie mający najmniejszego znaczenia), że Schelling miał powiedzieć, iż ten ma tylko trzy czwarte mózgu; że Sanz del Río podczas pobytu w miejscowości swojej żony wyczyniał takie ekstrawagancje, iż miejscowi uznali go za szaleńca; że katedrę na uniwersytecie ten „ciemny Kastyljczyk” otrzymał tylko dzięki protekcji etc.]. Według nich, w dociekanii prawdy liczy się tylko indywidualny wysiłek i naukowy dowód. To przeświadczenie było źródłem wręcz przesadnego entuzjazmu, jaki żywili wobec badań naukowych oraz kultu, jakim otaczali naukę. Ich egzaltowany stosunek do rozumu i poznania naukowego, którym umieli natchnąć szersze grono swoich uczniów, był wyłomem, jaki po raz pierwszy od kilku stuleci uczyniono w ukształtowanej przez scholastykę mentalności Hiszpanów.

Szczególnie druga faza działalności krauzystów, rozpoczynająca się około roku 1875, której ton nadawał F. Giner de los Ríos, przyniosła ważne i trwałe, sięgające głęboko w wiek XX, dokonania na polu edukacji i racjonalizacji życia. Giner zauważał głęboki upadek rodzimego szkolnictwa, pisał, że absolwenci hiszpańskich szkół są niewiele lepiej wychowani niż ludzie dzicy. Swoją wizję wychowania krauzyści realizowali w założonej przez nich w 1876 roku Wolnej Wszechnicy Nauczania [Ponadto krauzyści założyli inne instytucje kulturalne i badawcze, takie jak Junta para Ampliación de Estudios, Residencia de Estudiantes, Centro de Estudios Históricos.]. Była ona w Hiszpanii małą wyspą racjonalizmu i swobody intelektualnej, ale pozycja jej absolwentów wśród elity hiszpańskiej była bardzo wysoka. Bez tych filozoficznie skromnych, chociaż zarazem na miarę okoliczności wielkich dokonań krauzystów, dalszy rozwój filozofii odwołującej się do rozumu byłby niemożliwy. Krauzyzm odegrał niewątpliwie niebagatelną rolę w intelektualnych dziejach Hiszpanii.

Kolejną szansę racjonalizacji kultura hiszpańska otrzymała w roku 1898. W tymże roku Hiszpania przegrała wojnę ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki, tracąc swoje ostatnie kolonie – Kubę, Puerto Rico i Filipiny. Nie była to zbyt dotkliwa strata ekonomiczna, ale uczyniła dramatyczne spustoszenie w świadomości Hiszpanów. Utrata ostatnich zamorskich resztek imperium usuwała wątpliwe podstawy ich dumnej, imperialnej i antyracjonalistycznej narodowej świadomości, mocno związanej z religią chrześcijańską. Ówczesni Hiszpanie z tej szansy skorzystali tylko częściowo. Gdy rozluźniły się umysłowe i instytucjonalne więzi, które kępowały myśl i intelektualistów, okazało się, iż niechęć Hiszpanów do rozumu jest zdumiewająco trwała; okazało się, że wielowiekowe wysiłki włożone przez państwo i Kościół w wymuszanie na Hiszpanach niechęci do rozumu nie poszły całkiem na marne.

Całą twórczość po 1898 roku wypełnia troska o Hiszpanię, pytania o przyczyny jej choroby, o jej tożsamość i przeznaczenie oraz propozycje jej uleczenia. Tworzy się grupa artystyczno-filozoficzno-towarzyska, zwana jako “pokolenie 98”, która te niepokoje werbalizuje najpełniej. Należą do niej A. Ganivet, Azorín, P. Baroja, M. de Unamuno, A. Machado, R. de Maeztu, R. Valle-Inclán. Niektórzy z nich są filozofami, ale duch ich rozważań daleki jest od ducha scjentystycznej i obiektywistycznej filozofii krauzystów. Żaden z nich nie napisał traktatu filozoficznego, wyrażali oni swoje poglądy w formach nie sprzyjających ani obiektywizmowi, ani utrzymywaniu myśli w rygorach logiki – w poezji, powieści i esejach.

“Pokolenie 98” dostrzega jałowość narodowej kultury, marazm, monotonię, unimorfizm, “ideofobię” i ignorancję, brak spontaniczności i młodości. Dostrzega to i pyta: czy zwrócić się ku przeszłości Hiszpanii, by wydobyć z niej nieskażone, prawdziwie narodowe wartości i według nich budować przyszłość kraju i jego kulturę, czy też raczej Hiszpanię europeizować. I okazało się, że wszyscy jednym głosem opowiadają się za pierwszą możliwością. Ganivet np., parafrazując św. Augustyna, pisał: *Noli foras ire; in interiore Hispaniae habitat veritas*, a w innym miejscu: *należałoby zamknąć wszystkie drzwi, aby Hiszpania nie uciekła*

[A. Ganivet, M. de Unamuno, *El porvenir de España*,

<http://jlgomez@ensayo.rom.uga.edu/antologia/XIXE/ganivet/index.htm>]. Proponują przede wszystkim ponowną lekturę dzieł dawnych mistrzów, zwłaszcza “Don Kichota” oraz kontakt z obyczajami prostego ludu Kastylii. Don Kichot był dla nich wcieleniem tego, co prawdziwie hiszpańskie. Dlatego też chyba każdy z nich w literackiej lub eseistycznej formie przedstawił swoją wizję Don Kichota jako wzoru osobowego i kichotyzmu jako stosownego dla Hiszpanów stylu życia, myślenia i odczuwania.

Najciekawsze – także z filozoficznego punktu widzenia – było spojrzenie, jakie na tę sprawę zaprezentował Unamuno (1864-1936). Początkowo, tak jak jego rówieśnicy z “pokolenia 98”, wielkie nadzieje na odrodzenie narodowe Hiszpanii wiązał jej przeszłością, ale w odróżnieniu od nich swoją wizję tego odrodzenia łączył z nawiązaniem kontaktów z kulturą Europy. W esejach *Sobre el marasmo actual de España* pisał na przykład: *czy wszystko jest chore? Nie; przyszłość hiszpańskiego społeczeństwa oczekuje wewnątrz naszego społeczeństwa historycznego, w intra-historii, w nieznanym narodzie, i nie stanie się on potężny, aż go nie obudzą wiatry czy wichry europejskiej atmosfery*, i nieco dalej, w następnym akapicie: *Hiszpania jest do odkrycia; a odkryją ją tylko Hiszpanie zeuropeizowani* [M. de Unamuno, *Sobre el marasmo actual*, M. de Unamuno, *Sobre el marasmo actual*, (w:) *En torno al casticismo*, V, <http://www.arches.uga.edu/~joeycito/home.htm>]. Dlatego wzywał do otwarcia okien na “europejskie pole”.

Pogląd Unamuna na to zagadnienie zmienił się później, pod wpływem rozważań nad problemami ludzkiej egzystencji. Jego esej *Del sentimiento trágico de la vida en los hombres y en los pueblos* (1913) jest sprzeciwem wobec abstrakcyjnego ujmowania człowieka. Uznaje on, iż jedyną właściwą perspektywą antropologiczną jest ta, która ujmuje człowieka w jego indywidualnej egzystencji, jako człowieka z krwi i kości. W tej optyce jedynym prawdziwym, całkowicie nieteoretycznym problemem człowieka, stanowiącym wręcz “fundament ludzkiej jednostki” jest zagadnienie indywidualnej nieśmiertelności. Jedyna rzeczywista troska człowieka wyraża się w tych oto dramatycznych słowach: *nie chcę umierać, nie, nie chcę i nie chcę tego chcieć; chcę żyć zawsze, zawsze, zawsze* [M. de Unamuno, *Del sentimiento trágico de la vida*, Madrid 1983, s. 50.]. Wola wiecznego trwania rodzi pytanie o to, czy istnieje Bóg, gwarant naszej nieśmiertelności. Pytanie o nieśmiertelność i o Boga nie znajduje racjonalnej odpowiedzi. Unamuno wyprowadza stąd wniosek: rozum jest wrogiem wiary w nieśmiertelność, racjonalne dowody nieśmiertelności duszy i istnienia Boga nie prowadzą bowiem nigdy do wykazania ich jako bytów realnych, lecz zawsze tylko do sztucznych konstrukcji. Tam, gdzie

wola i pragnienie pozwalają uwierzyć w jedno i drugie, racjonalne argumenty wykazują bezpodstawność tej wiary. *Rozum, a w związku z tym i nauka, nie są w stanie zaspokoić potrzeb serca i woli ludzkiej* – streszcza konkluzję tych rozważań E. Górski[E. Górski, *Człowiek w filozofii Unamuna i Ortegi y Gasset*, (w:) *Problemy człowieka we współczesnej myśli hiszpańskiej*, red. E. Górski, Kraków 1982, s. 69.]. Rozstrzygnięcie najważniejszego ludzkiego problemu musi zatem pozostać irracjonalne. I właśnie przekonanie o zasadniczej niemożności udzielenia racjonalnej odpowiedzi na zasadnicze egzystencjalne pytania staje się przyczyną zwrotu w myśleniu Unamuna o europeizacji Hiszpanii jako warunku jej duchowego odrodzenia. Na czymże bowiem miałyby polegać europeizacja, jak nie na racjonalizacji jej duchowości? Europa to dla Unamuna rozum.

W późniejszych pracach Unamuna znajdujemy liczne wypowiedzi skierowane przeciw rozumowi. Autor pisze m.in., że wszystko co witalne jest antyracjonalne, a to co racjonalne - antywitalne, że to, co realne jest irracjonalne, a realne jest to, co wieczne, że nauka jest chorobą, cmentarzem martwych idei, których tyrania wzbudza w nim największą nienawiść[M. de Unamuno, *La ideocracia*, (w:) *Tres ensayos*, Madrid 1900, s. 23.]. Podsumowaniem stosunku hiszpańskiego filozofa do rozumu i zarazem oceną europeizacji Hiszpanii mogą być jego następujące słowa: *człowiek, człowiek żywy i wieczny, wart jest wszystkich teorii, wszelkich filozofii. Inne narody dały nam przede wszystkim instytucje, książki; myśmy dali dusze. Święta Teresa jak tyle samo warta, co jakkolwiek instytucji, tyle co jakkolwiek Krytyka czystego rozumu*[M. de Unamuno, *Del sentimiento ...*, op. cit., s. 305-306.], modlitwa tyle samo, co jakkolwiek filozofia[Ibidem, s. 22]. Unamuno uznaje więc, że europeizacja Hiszpanii byłaby błędem i przeciwstawia jej ideę afrykanizacji Hiszpanii, rozumianej jako powrót do zasad życia, głoszonych przez Afrykańczyków: św. Augustyna i Tertuliana. Hiszpania idealna okazuje się Hiszpanią chrześcijańską i nie potrzebującą rozumu.

Postawa wobec „problemu Hiszpanii” (w istocie był to problem oceny wartości rozumu i jego przydatności dla kultury Hiszpanii) zmieniła się w następnej generacji, w pokoleniu J. Ortegi y Gasset (1883-1955). Ortega skłania się ku duchowi filozoficznej dyscypliny krauzystów[O krauzyzmie i jego twórcach Ortega miał jednak niewysokie mniemanie, napisał nawet, iż byli oni „wspaniałymi ludźmi, ale złymi muzykami” (J. Ortega y Gasset, *Prólogo para alemanes*, Madrid 1958, s. 25).]. Jako zwolennik europeizacji Hiszpanii, wyrażał przekonanie, że jej problemy mogą zostać rozwiązane tylko pod warunkiem ujęcia ich w perspektywie intelektualnej. Inaczej mówiąc, uznał, że chorobą Hiszpanii jest niedostatek rozumu.

Dążenie Ortegi do europeizacji Hiszpanii miało jednak niejednoznaczny sens: z jednej strony w europejskim rozumie widział szansę „witalizacji” Hiszpanii, z drugiej natomiast uważał, że można go zaakceptować pod warunkiem przeprowadzenia jego reformy i ustanowienia nowej logiki (czyli – nowego paradygmatu racjonalności). Logika tradycyjna, oparta na zasadzie tożsamości, może być, według niego, prawomocnie stosowana tylko na gruncie myślenia abstrakcyjnego, ufundowanego na idei bytu statycznego, ale nie nadaje się do opisu empirycznej rzeczywistości jako środowiska ludzkiego życia. Realne myślenie jest konkretne, jego treść zmienia się wraz z okolicznościami, a reguły logiki tradycyjnej są tylko beztreściowymi schematami myślenia, które w konkretnych sytuacjach zapełniające się „okolicznościową” zawartością. W ortegiańskiej koncepcji rozumu odpowiednikiem pojęć rozumu „matematyczno-fizycznego”, jest metafora, która *żywi się jasną świadomością nie-identyczności*[J. Marias, *Ortega. Circunstancia y vocación*, Madrid 1973, s. 411.].

Reforma rozumu, którą postulował Ortega, miała polegać – w ogólnym sformułowaniu – na zastąpieniu „rozumu matematyczno-fizycznego” „rozumem historycznym i witalnym”. Ale koncepcja rozumu witalnego i historycznego Ortegi jest niejasna. Twierdzi się wręcz, że sformułowanie nowej koncepcji rozumu zostało przez Ortęgę jedynie zapowiedziane, a rozproszone tezy, które mogłyby być jej elementami, nie zostały nigdy przez niego ujęte w koherentny system. Pewne jest tylko to, że rozum witalny filozof utożsamia z jednostkowo pojętym życiem, że według niego życie każdego człowieka jest prekognitywną, pragmatyczną racjonalnością, która nadaje rzeczywistości znaczenia. Elementem tej doktryny jest także teza o historycznej zmienności prawdy.

Chociaż koncepcja Ortegi wykracza poza ustalenia Unamuna, w wielu punktach jest z nimi zbieżna[E. Górski, *José Ortega y Gasset i kryzys ideologii hiszpańskiej*, Wrocław 1982, s. 146.]. Ortega akceptuje przedstawione przez autora *Del sentimiento trágico de la vida* rozumienie takich kategorii, jak życie, rozum, prawda i in. Wspólne jest im np. pojmowanie życia jako realności konkretnej, jednostkowej i osobowej oraz opozycja wobec jego rozumienia ogólnego i abstrakcyjnego[Por. np. M. de Unamuno: *Adentro*, w: *Tres ensayos*, Madrid 1900, s. 20; *La agonía del cristianismo*, Madrid 1966, s. 44-45; *Del sentimiento ...*, op. cit., s. 7-8 i 56.]. Ortęgiańska koncepcja wierzeń (spontanicznie uformowanych, fundamentalnych, indywidualnych przekonań, dotyczących rzeczywistości) przypomina definicję prawdy sformułowaną przez Unamuno, według której *prawdą jest to, w co się wierzy całym sercem i całą duszą*[M. de Unamuno, *Que es verdad*, w: *Ensayos*, Madrid 1951, s. 812.].

Ortega tak samo jak Unamuno postrzega cel poznania, jakim jest służba potrzebom życiowym. Chociaż Ortega deklarował się jako zwolennik rozumu, to w gruncie rzeczy zajmował wobec niego postawę podobną do tej, jaką zajmował Unamuno – przeciwnik rozumu.

Hiszpańska filozofia zawdzięcza Ortedze znacznie więcej niż jakiegokolwiek innemu myślicielowi - zbudował on w Hiszpanii podstawy współczesnej filozofii. Jego wszechstronna działalność (publicystyczna, dydaktyczna, translatorska, edytorska) wytworzyła wreszcie intelektualne środowisko rzetelnego filozofowania,

którego od wieków w Hiszpanii brakowało. W tej atmosferze Ortega ukształtował grupę filozofów nazywaną Szkołą Madrycką. Jeszcze za życia jej założyciela, w Szkole pojawiły się takie stanowiska filozoficzne, które wzbudzały jego sprzeciw, czyniąc z tego krytyka czystego rozumu niemalże obrońcę jego autonomii. Tak stało się w przypadku Marii Zambrano, uczennicy Ortegi. Posunęła się ona w krytyce czystego rozumu jeszcze dalej niż jej mistrz.

Otóż Zambrano neguje wartość filozofii europejskiej, od Platona poczynając. Oskarża ona tego filozofa o to, że poddając surowej krytyce poezję, zapoczątkował rozdzielenie integralnego pierwotnie poznania na filozoficzne i poetyckie[Zob. M. Zambrano, *Pensamiento y Poesía en la Vida Española*, México 1939, s. 5.]

Po Platonie filozofia stała się idealizmem, który fabrykuje intelektualne twory, ignorując rzeczywistość, w której toczy się życie i którą kocha i opisuje poeta. M. Zambrano negatywnie ocenia zwłaszcza interesowność filozofii. Według niej w idealizmie – tzn. niemal całej filozofii od Platona po Hegla – tkwi immanentnie i istotnie skłonność do dopasowywania świata do umysłowych, idealnych struktur, redukujących to co indywidualne, historyczne i niepowtarzalne do ogólnego, beczasowego schematu. Autorka tę skłonność idealizmu zrównuje z pragnieniem wywierania przemocy oraz postuluje odrzucenie racjonalizmu i zastąpienie go „rozumem poetyckim”. Jej filozoficzny program przewiduje „zwinięcie” rozumu do tego stadium, w którym dominowało jeszcze poznanie poetyckie oraz sakralna harmonia świata, Boga i człowieka. Ku tej pełni należy się cofnąć, wykorzystując do tego celu sny, poezję, muzykę, powieść, dzieła mistyków, osobiste wyznania filozofów etc.

Mimo takich nawrotów do starego motywu, dzisiaj w hiszpańskiej filozofii panuje taka sama różnorodność stanowisk wobec rozumu, jaką spotykamy gdzie indziej. Długotrwała niechęć do filozofii jako dziedziny autonomicznej została przezwyciężona, a hiszpańska filozofia stała się częścią otwartego uniwersum myśli.



Mieczysław Jagłowski

Młotem w elektron, czyli filozofia i jej córki

Moje niepokoje

Jakież wspaniały złom po sobie zostawimy ! Dumni ze swej technologii, zmechanizowani, nieistniejący...

Ludzkłość przez większość swego czasu znajduje się w „okresie międzywojennym”, to znaczy pomiędzy jedną, dopiero co wygasłą wojną, a następną – wiszącą w powietrzu (tertium non datum). Po ataku bombowym na Hiroszimę i Nagasaki Albert Einstein stwierdził: „...to nie nauka, to niszczą wojny...”. Ale te słowa to, jak się wydaje, zręczny wybieg, by przerzucić odpowiedzialność, lub jej znaczną część z ludzi nauki, wśród których znaleźli się w owym czasie: Oppenheimer, Born, Fermi, Foks i wielu innych, czołówka największych w dziejach współczesnej nauki, na ludzi świata polityki. Choć nie ulega wątpliwości, że odpowiedzialność tych ostatnich jest olbrzymia i mniejsza o to, czy się do niej poczuwają.

Rozwój nauki pociąga za sobą „postęp technologiczny” (pojęcie nie całkiem jasne, ale jakoś trudno znaleźć odpowiedniejsze bez tworzenia neologizmów), który z kolei przyczynia się do kolejnych odkryć naukowych, by te zaowocowały wkrótce nowymi konstrukcjami technologicznymi, prowadzącymi do kolejnych „osiągnięć naukowych”, tworząc błędne koło, z którego wyrwać się już niepodobna, a przynajmniej jest to ogromnie trudne i wymaga jakiejś nowej jakości w zakresie świadomości. Ktoś powie, że przecież taki „młynek postępu naukowo-technologicznego” jest historycznie konieczny, ponadto przynosi ludzkości ogromne korzyści: komputery, większe możliwości medycyny, automatyka itd., itp. Trudno dyskutować z dziejową koniecznością, jednak śmiem wątpić w owe ogromne korzyści. Korzystając chociażby z dowolnej zasady zachowania można próbować – bezpośrednio lub przez analogię – podważyć tą tezę: aby coś zyskać trzeba coś stracić – mówiąc najogólniej. Kontrargumentem może tu być oczywiście stwierdzenie, że zyski są w jakiś sposób wartościowsze

od poniesionych strat. No właśnie – w jakiś sposób – pojawia się problem odpowiedniego kryterium, dalej kryterium tego kryterium i można tak czasem bez końca. Zważywszy zaś na to, że wszystkie znane dotąd procesy (fizyczne) odbywają się z pewnymi stratami, dając w efekcie pewien deficyt, wydaje mi się, że tak właśnie jest z tym „postępem”. Myślę nawet, że przeważnie dobrze się o tym wie, lecz coś (albo ktoś, najprawdopodobniej sam człowiek) nie pozwala tej wiedzy przebić się przez „mur” własnego wewnętrznego, a i zewnętrznego niekiedy świata, mozolnie zbudowanego z mnóstwa misternie połączonych ze sobą (fałszywych ?) teorii, tworzących coś w rodzaju „światopoglądu” tudzież „ideologii”. Wygląda na to, że wolimy dalej brnąć, oszukując siebie i kolejne pokolenia (czyli w gruncie rzeczy znów siebie) i za nic mając ostrzeżenia jednego z największych fizyków wszechczasów, nadto także filozofa, który mawiał: „Nie wiem na co będzie trzecia wojna światowa, czwarta z pewnością na pałki i kamienie...” (za: A.Einstein, Pisma filozoficzne, Warszawa 1999); taką przyjdzie ludzkości zapłacić cenę za owoce „postępu technologicznego” czy „modnego” ostatnio „biotechnologicznego”. Czy aby z tej perspektywy nie są to owoce bardzo cierpkie i kwaśne, a możliwe, że i nieco nadgniłe ?

Zamierzałem w którymś z kolejnych tekstów w tym cyklu napisać o najnowszych badaniach fizycznych, które rychło doprowadzą do powstania kwantowych komputerów, wspomnieć przy tej okazji o związanych z tym efektach jedno- i wielofotonowych, transmisji nadświatłowej FLASH, kwantowym paradoksie Zenona z Elei, zastanowić się wreszcie, czym „w świetle ostatnich badań jest światło” (przepraszam, tak się tu atrakcyjnie złożyło, że ten żart tak jakoś prawie sam się napatoczył) – falą, czy korpuskułą, by przypomnieć i rozwinąć nieco dalej spór, jaki wiedli swego czasu Newton z Huygensem. Skonstatowałem przy okazji rozmyślenia nieco nad tymi kwestiami i planami, że nie działające jeszcze przecież komputery kwantowe, już mają wyznaczone zadania, zaplanowane zastosowanie – jako urządzenia deszyfrujące w celach militarnych ewentualnie pokrewnych. W tej sytuacji więcej już dodawać nie muszę, nie powinienem nawet, byłaby to kpina z czytelnika, zważywszy na poruszoną tutaj kwestię „postępu technologicznego”. Właśnie to coś, czego nie trzeba już dodawać, „to coś”, co powoduje, że rozkładamy bezradnie ręce wobec wymykającego się świata ludzkich wytworów, niezwykle zresztą dynamicznego świata, świata jakiejś trzeciej albo czwartej metafizyki, a raczej chyba pseudometafizyki wypierającej tą właściwą, pierwszą, „to coś” stanowi wiedzę, która właśnie przebiła się przez „mur” i nazwałbym ją może „świadomością egzystencjalną” (pod warunkiem odpowiednio szerokiego potraktowania kategorii wiedzy). Może nawet „fizykalną świadomością egzystencjalną”, podobną na swój sposób do egzystencjalnej świadomości której pojęcie wprowadzili do filozofii już dosyć dawno: J.P.Sartre, M.Heidegger, K.Jaspers i inni, z tą różnicą, że pokusiłbym się o próbę wprowadzenia jej do współczesnej fizyki teoretycznej (nauki), jako nowy problemat wyłaniający się z konfliktu, sprzeczności między rzeczywistym rozwojem naukowym, a „postępem technologicznym”. Jest w niej coś z Sartrowskiego pojęcia świadomości w korespondencji ze swoistym fenomenologizowaniem Heideggera i sytuacjami granicznymi Jaspersa, a i jakiś związek z Camusa kategorią absurdu da się też zauważyć, chociaż – zaznaczam – kwestia wymaga jeszcze doprecyzowania i rozjaśnienia. Wydaje się w każdym razie, że pozornie komplementarne wobec siebie: rozwój nauki (nauk) i „postęp technologiczny” nie powinny, nie mogą dalej pójść razem, z przyczyn, o które starałem się tu zasygnalizować...Zastanówmy się czasem, w wolnej jakiejś chwili, jak daleko doprowadził nas i wciąż prowadzi ten „wspólny” ich marsz. Czy aby nie za daleko ? Ryzyko jest poważne, chyba warto być go chociaż świadomym. Świadomym na sposób egzystencjalny...

Nie znaczy to by zaniechać wszelkich dążeń naukowych, lecz by odciąć się od wszystkich pseudonaukowych działań, które prawdziwej „czystej nauce” nigdy wielkiej chwały nie przyniosły, bo i przynieść nie mogły. A jeśli nawet przyczyniły się w jakiś sposób do przybliżenia się nieco do prawdy, to działa się to raczej jako skutek uboczny, niezamierzone odsłonięcie pewnej prawdy. Poszukiwanie prawdy to ze wszech rzeczy najszlachetniejsza, głosił Mikołaj Kopernik. Prawda wywiedziona poprzez świadomość egzystencjalną brzmi być może: nie każda cena jest dopuszczalna na drodze rozwoju, nie każdą wolno ludzkości płacić, nawet jeśli to wygodniejsze. Nie wolno poświęcić humanizmu. Niech będzie zatem sztuka dla sztuki, a nauka dla nauki – drogi, którymi postępuje się ku tej prawdzie, o której chyba mówił Kopernik.

Suplement: Zagadnienie „fizyki egzystencjalnej” wprowadziłem na mocy zwrócenia uwagi na zaistniałą wewnętrzną sprzeczność, antynomię, konflikt nawet, jaki da się dostrzec w relacji nauka – postęp technologiczny, przez analogię do poruszanego między innymi przez filozofię egzystencjalną problemu relacji jednostka-społeczeństwo, a także świadomość-byt, czy relacja istnienie-istota. Nie twierdzę póki co, że rozwiązanie tego problemu da się przeprowadzić tak, jak to uczyniono w filozofii egzystencjalnej z tamtymi wymienionymi. Właściwie to można się nawet spierać, czy istnieją rozwiązania wyprowadzone z pozycji egzystencjalizmu i wspólne dla wszystkich, lub przynajmniej co znamienitszych przedstawicieli, a dotyczące wymienionych kwestii. Nie jestem nawet do końca przekonany, czy fizyka w ogóle może być egzystencjalna, czy na sposób egzystencjalny potraktowana. Jednakże myślę, że uprawnionym byłoby tworzyć taką czystą naukę (nauki), wyzwoloną z uwikłania w ideową (często też materialną, moralną, formalną itd.) sprzeczność z jej „praktycznym zastosowaniem” (nie chodzi nawet o to, że czysta nauka nie ma praktycznego zastosowania, ale wydaje się, że jest nim raczej, powiedzmy, wzbogacanie świadomości, a nie jakiś tam podbój itp.). Tu

rozważałem kwestię postępu technologicznego, to bowiem wyraźne i znamienne „uwikłanie” nauki. Ale można też dopatrzeć uwikłania na przykład w ideologię i inne instytucje ludzkiego bytowania. Taką czystą naukę, wolną od wpływów zewnętrznych – mówiąc krótko, choć może nazbyt ogólnie. To złożone i niełatwe zagadnienie, przyznam, że nie bardzo nawet wiem jeszcze w jaki konkretnie sposób tworzyłby się rozwój naukowy bez postępu technologicznego. Zatem sygnalizuję tu tylko póki co zaistniały problemat (którego rozwiązanie może okazać się niemożliwe, albo nawet nie istnieć) i myślę, że jednak warto nad tym choć trochę się zastanowić. Coś chyba gdzieś tam jest na rzeczy...

Piotr Piotrowski

Jak wspominałem już w paru miejscach, w zasadzie przy każdej nadarzającej się okazji to czyniłem, niniejszy numer „Modusa” jest nieco obszerniejszy, a to z racji wakacji (tak mi się zrymowało). W związku z powyższym zwiększamy też dawkę elektronów, które spróbujemy rozbijać młotem – poniżej jeszcze jeden krótki, aczkolwiek ciekawy, jak mi nie mam i twierdzą, tekst z tego cyklu.

Cg. Cenzor

Młotem w elektron, czyli filozofia i jej córki

Czym u licha są fale W ? (czyli jak współczesna fizyka bliska jest metafizyce)

Radiation Wital – tak, fale witalne, czyli zjawiska zaburzenia pola rozchodzące się w przestrzeni, których źródłem jest to co powszechnie określane jako żywe (organizmy), jak i to, co żywym się nie nazywa, czyli ogólnie wszystkie substancje ale – to istotne – organiczne. Badania naukowe prowadzone obecnie w znaczących instytutach naukowych świata, a głównie w Rosji i USA, wskazują na to, iż niedługo świat obiecuje informacja takiej oto mniej-więcej treści: „odkryliśmy nowy rodzaj oddziaływań, inny od znanych dotąd fizyce – grawitacyjnych i elektromagnetycznych, oddziaływania wywołane siłami witalnymi (fale W).”

Według rosyjskich i amerykańskich fizyków, fale te można rejestrować, wykonując typową fotografię badanego ciała fizycznego (w zasadzie biofizycznego), poddanego działaniu prądów wysokiej częstotliwości (kilka kHz). Zjawisko to w fizyce nazywa się „efektem kirjanowskim” i przypomina rysowaną przez tzw. energoterapeutów „aurę”. Jednocześnie próbuje się także powiązać tę wiedzę z dostarczoną przez starożytną chińską medycynę akupunkturą. Tu wbijane igły mogą ponoć spowodować wyrównanie promieniowania w danych punktach na ciele, igły działają zatem po prostu jak anteny, za pośrednictwem których „fale W” odpływają z organizmu, lub do niego przyływają powodując określone efekty (zmianę stanu układu, np. stanu zdrowia itp.). Jednak nie są to fale elektromagnetyczne w rozumianym przez nas sensie, choć i takie organizmy żywe bez wątpienia emitują. Nie mam zbytnio pojęcia, czym są fale W. Ze wstydu się nie palę, bo zdaje się, że na razie nikt jeszcze tego nie wie, choć są na ten temat już pewne hipotezy. Kilka miesięcy temu doktor Korodkow (z Rosji) przeprowadził badania z wykorzystaniem zjawiska Kirjana, na ludzkich zwłokach. Eksperyment ów wykazał powolne zanikanie fal W, w przeciągu tygodnia od zarejestrowania zgonu – zatem nie są to tak zwane fale mózgowe (encephala) – one bowiem zanikają w momencie śmierci mózgowia. Nie są to także fale materii, jako że te istnieją dopóty istnieje materia. Doktor Korodkow stwierdza: „dla wielu ludzi może to stanowić dowód na istnienie <duszy> ...”, ale duszy rozumianej raczej nie na sposób przyjęty w religii chrześcijańskiej; bliższy może ujęcia duszy w religiach Dalekiego Wschodu. Wykazano także emisję tych fal przez inne organizmy żywe, np. drzewa – specjalnie nacinane - emitowały fale W, rozchodzące się w przestrzeni z niewielką prędkością ($1,8 \div 2$ m/s). Trudno zatem, by była to zwykła fala elektromagnetyczna. Jednak wpływa ona w pewien sposób na inne drzewa tego samego gatunku. Czyżby ten rodzaj promieniowania znali już starożytni mieszkańcy Dalekiego Wschodu ? A może to tylko zbieg okoliczności, poetyckość i symboliczność języka prowokują takie wrażenie ? Tego nie potrafię powiedzieć, bo i sprawdzić się tego chyba nie da. Nie wiemy także, co jest faktycznym źródłem wspomnianego rodzaju promieniowania i czy do jego rozchodzenia konieczny jest ośrodek materialny (eter), ani też jakie fizyczne własności posiada owo promieniowanie. I czy może nam to pomóc zrozumieć przyrodę (zjawiska falowe, takie jak światło). Tego wszystkiego na dzień dzisiejszy nauka jeszcze nie wie. Jednak być może da się to kiedyś uznać za dowód doświadczalny na to, iż człowiek (i nie tylko on) jest istotą dualną – falową i korpuskularną. Stanowi zatem ów fakt fizyczne, empiryczne narodziny człowieka metafizycznego. Teraz to się troszeczkę wygłupiam, ale nie do końca. Tyleż zamach na krytyczną metafizykę Kanta, co droga do spełnienia niektórych jej postulatów...Poczekajmy może jeszcze z wyciąganiem tego typu wniosków, nie dajmy się zwariować. Przynajmniej nie tak od razu. Wszak: „Gdy świat przestaje w coś wierzyć, nie znaczy to, że nie wierzy w nic, jest w stanie uwierzyć we wszystko”.

Piotr Piotrowski

Golonko Marek ps. Wielebny

„Recenzja artykułu Umberto Eco „Jak pisać do katalogu wystawy.”

Być genialnym pisarzem, elokwentnym i wielopłaszczyznowym krytykiem rzeczywistości, być wreszcie niekwestionowanym autorytetem epoki postmodernizmu, w której z skądinąd przyszło nam wieść swoją małą egzystencję nie pozwala nikomu na izolację od codziennej rutyny. Wyraz temu daje nie kto inny jak sam Umberto Eco w serii błyskotliwych felietonów dla mediolańskiej gazety „L Espresso” zebranych we wspólne wydawnictwo pt. „Zapiski na pudełku od zapalek”. Ja pragnę skoncentrować się na felietonie „Jak pisać do katalogu wystawy”. Jest on pozornie subtelnym głosem w dyskusii na tematy takie jak: „Przeznaczenie sztuki, - Sens sztuki, - Granice i kryteria arcyzmu. Później, ponieważ Eco przynajmniej w kontekście literatury wprowadza w te rozważania świeżość i nową jakość. Ze względu na charakter i formę tegoż „komunikatu” można wysnuć wniosek odnośnie osobistego zabarwienia tekstu. Metodą indukcji, wskazuje on poruszany problem i pozwala czytelnikowi na wysnucie odpowiednie wniosków w kategoriach ogólnych. A konkluzyjny wniosek może być następujący: „KRYTYCY SZTUKI TWORZĄ HISTORIĘ SZTUKI”. To przekaz który odczytałem ja, aczkolwiek przekazów tych można odczytać jeszcze nieskończoną ilość. Ten fakt pozwolił mi z kolei na zgłębienie drugiego dna rzeczoności artykułu. Podobnie jak przedstawiony przez Eco Krytyk AKA formułuje coraz to nowe wnioski i interpretacje dzieła Prosciuttiniego, tak ja, ty, on, ona, bądź któryś z nich może formułować coraz to nowe wnioski nasuwające się z interpretacji artykułu Eco. A co świadczy o jego artyzmie? Wszak brak tu stricte prozatorskiej narracji. Błędem byłoby poszukiwanie jakichkolwiek walorów estetycznych. Kryterium arcyzmu jest tu z całą pewnością przestrzeń kreowana przez samego czytelnika wielowątkowość jego rozważań która skrzętnie buduje monumentalny kolaż płaszczyzn. Jest to realizacja idei, której pionierem w „Akcje schodzącym po schodach 2” był Marcel Duchamp. Istota tej techniki opierała się na tym, iż kontestujący się widokiem malowidła widz dopełniał dzieła wprawiając je w ruch, dzięki czemu tytułowy akt mógł być w faktycznym ruchu. Takie też jest dzieło Eco. Jego artyzm wynika bezpośrednio z bystrości czytelnika, jego strumienia świadomości, który dopisuje ten artykuł, tworzy go wnikliwszym, nadaje mu permanentny rozwój. Angażując na potrzebę opisu artykułu Eco przysłowiowe „Exegi monumentum” Horacego, można by stwierdzić „Do końca świata będę kręcił o sobie film”. A co chce przekazać Eco? Może zmienić mentalność odbiorcy w duchu postmoderny i ery informatycznej? Może chce powiedzieć iż wystawiony w 1917 roku porcelanowy pisuar z podpisem „R. Mutt” w oczach jednych jest tylko pisuarem, w oczach drugich natomiast, którzy którzy pozbawili go pierwotnego znaczenia, zastosowania i kontekstu, jest genialnym, abstrakcyjnym „ready made-em” bądź harmonijną rzeźbą przestrzenną czy jak stwierdził sam Duchamp niekopiowalnym przez kulturę dziełem. Generalną konkluzją w formie posłania jaką formułuję na bazie artykułu Eco jest myśl: „TWÓRZMY CODZIENNIE SZTUKĘ PO PRZEZ ROZUMOWE, DUCHOWE, KOMPLEKSOWE, INTUICYJNE I WNIKLIWE POSTRZEGANIE OTACZAJĄCEJ NAS RZECZYWISTOŚCI”. A ty mój drogi czytelniku tej recenzji uwolnij jej skrzydła z użytych przeze mnie słów i wypuść ją z klatki mojego ograniczonego rozumowania. Dopisz ją, twórz.



Józef Dębowski

Po odczycie prof. Józefa Dębowskiego *Dlaczego fenomenologia?*

Pytania i odpowiedzi

Poza „okrutnym” pytaniem Pana Profesora M. Jagłowskiego, na które odpowiadałem „na gorąco” (przypominam: problem intersubiektywności i solipsyzmu), otrzymałem dotąd tylko jedno pytanie. Pytanie zostało mi zadane w kuliuarach przez studentkę II roku filozofii, muszę nadmienić — niezwykle urodziwą. Nazwisko i imię chwilowo utajnię, choć dla (względnej) jasności dodam, że nie była to moja córka.

Pytanie brzmiało: *Czy fenomenologia rzeczywiście jest tak trudna, jak można by sądzić po Pańskim wykładzie?*

Moja odpowiedź:

Nie, aż tak trudna nie jest, choć dla każdego poważnego filozofa, w tym zwłaszcza młodego adepta filozofii, stanowi duże teoretyczne wyzwanie: wyzwanie przede wszystkim poznawcze, lecz częściowo zapewne także światopoglądowe (postulat bezzałożeniowości!). Niewątpliwie jednak, spośród bodaj wszystkich dwudziestowiecznych kierunków filozoficznych, jej program jest najbardziej wymagający. Wszak od początku mówiło się o nim — **maksymalistyczny**. Ten maksymalizm — teoretyczny, metodologiczny i aksjologiczny — dobrze widać zwłaszcza dzisiaj na tle, jak powiedziałby prof. J. J. Jadacki, **postmodernistycznej tandety**, z którą wszędzie wokół (w poznaniu i w działaniu, w dziedzinie kultury duchowej i w dziedzinie kultury materialnej) mamy do czynienia i którą, tak czy owak, musimy oddychać.

Dla mnie osobiście fenomenologia zawsze (od czasów studenckich i miłościwie panującej wówczas filozofii marksistowskiej) stanowi dobre **antidotum** na rozmaite doktrynalne zatrucia, aksjologiczne rozchwianie i inne umysłowe aberracje. Czy takim **antidotum** może być także dla każdego z Was? Zasadniczo tak, choć terapia, którą proponuje fenomenolog, wymaga sporej (samo-) dyscypliny.

Oczywiście, opowiadając o fenomenologii, wskutek długoletniej zażyłości, łatwo mógłbym skoncentrować się na warstwie czysto faktograficznej, a nawet biograficznej czy wręcz anegdotycznej. I, zapewniam, byłoby o czym mówić. Wszystkim byłoby też może „łatwo, lekko i przyjemnie”. Postanowiłem jednak, że będzie inaczej — częściowo z przekory (mam ją wrodzoną), a częściowo ze złości (czasami mnie nachodzi). Ponieważ oczekiwaliście Państwo, że będę Was zabawiał, to — właśnie z przekory — kazałem Wam

dźwigać ciężar współmyślenia ze mną. Zresztą, chyba właśnie takim mnie znacie z kursowych wykładów. Złość na siebie samego (*scil.* własne zdrowotne niedomaganie) spowodowała zaś, że postanowiłem siebie i te niedomagania zignorować, a więc postąpić tak, jak gdybym był „fenomenologicznie zredukowany”, czytając skupiony na samych tylko związkach sensu i procesie ich „konstytucji”.

Wynika z tego, że drogi dojścia do fenomenologii mogą być oczywiście różne (łatwiejsze i trudniejsze), podobnie jak różny jest też stopień trudności jej rozmaitych wewnętrznych szlaków. Jednak o tych łatwiejszych, skądinąd może także bardziej barwnych (jak np. droga przez estetykę), innym razem. Na początek zaś — dokąd jeszcze macie tyle determinacji i wewnętrznej krzepy, ile macie — stromizna i schody!

Józef Dębowski



SYMPOZJUM

„Walczymy (...) z białym terrorem prawdy, z i dla czerwonego okrucieństwa osobliwości. (...) przecież w gruncie rzeczy nie wiemy, czym jest prawda i nigdy nie będziemy wiedzieć. Wiemy tylko tyle, że jest to broń paranoi władzy, pozór stosowanej całości w przestrzeni słów, nawrót terroryzmu”¹

Od początku formowania się filozofii jako dziedzina zajmującej się „myśleniem o świecie”, i potrafiącej to myślenie zamknąć w system, zauważamy powolną emancypację rozumu. Proces ów polega przede wszystkim na tym, że myśl w swoim wymiarze pojęciowym zaczyna determinować rozumienie świata, jak i dziedzin z nim powiązanych. Emancypacja rozumu przebiega samoistnie – jest. Tworząc pojęciową siatkę zamykamy się w jednowymiarowym spektrum. Rzeczywistość zaczyna być rządzona przez kryteria, normy i sposoby rozumienia wytworzone przez rozum. Nie potrafimy już inaczej spojrzeć na świat jak za pomocą pojęciowego ujęcia, ujarzmienia. Można powiedzieć, że nie widzimy świata, a znaczenia tego świata wyrażona w pojęciowym uchwyceniu jego struktury. Napotykamy jednak wiele trudności związanych ze zmianą, którą myślenie pojęciowe nie dopuszcza. Definiując jakiś wycinek rzeczywistości, mającej charakter materialny czy a-materialny, zamykamy ją w granicach pojęcia. To unieruchomienie jest konstytutywną zasadą nauki i wszelkiej wiedzy mającej charakter obiektywistyczny. Taka sytuacja daje poczucie władania nad światem, po przez przewyższenie zmiany przy pomocy stabilności pojęciowego jej ujęcia.

¹ J. F. Lyotard, *Economie libidinale*, Paris 1974, s. 351

Współcześnie zaczyna się zauważać, że tak radykalny racjonalizm jest niedopuszczalny. Wiąże się to z napotykanymi przez współczesną naukę trudnościami. Charakter tych trudności podyktowany jest wielością interpretacyjną badanych faktów, ale przede wszystkim świadomością ograniczeń jakie nakłada sobie nauka. Powstają „czarne dziury” naszej wiedzy, która przez tę sytuację zaczyna się „chwiać” w swych podstaw, gdzie zasada pełności wiedzy jest determinantem nauki jako takiej.

Ażeby zarysowana przez ze mnie sytuacja stała się bardziej wyraźna, postaram się prześledzić jak na fundamencie myślenia filozoficznego, narodziło się przekonanie i potęgde mocy poznawczej jaką jest rozum.

Filozofia narodziła się wraz z pierwszym pytaniem. Jego treść jest tutaj najmniej istotna. Chodzi bowiem o konsekwencje. Pytanie zawsze wiąże się z niepewnością, niepełnością posiadanej wiedzy. Ten dysonans wytwarza w osobie pytającej potrzebę, motyw dotarcia do odpowiedzi. Również treść odpowiedzi nie jest tutaj ważna. Liczy się sam początek, jak i droga jej uzyskania. W tym procesie zadawania pytania i udzielania odpowiedzi rodzi się poczucie władzy i mocy jaką daje rozum. Uświadomienie sobie tego jest początkiem narodzin krytycznego patrzenia na świat i treści w nim zawartych, ale kosztem poszukiwania najlepszego z rozwiązań. Osoba pytająca w momencie uzyskania nie satysfakcjonującej odpowiedzi, zaczyna bądź dalej jej szukać, bądź zaprzestaje poszukiwań zdając sobie sprawę z jałowości własnych poczynań. Natomiast osoba, która zawzięcie dąży do zadowolenia poznawczego powoli napelnia swoją niepełność wiedzy treścią, która według niej „pasuje” do formy pytania, które ów proces poszukiwawczy zapoczątkowało. Efekt końcowy – uzyskanie odpowiedzi – wytwarza przekonanie, że pozyskane treści pretendują do tego, ażeby ich sens uzyskał status jak najbardziej powszechny. Tworzy się proces obiektywizacji.

Zarysowaną sytuację możemy zauważyć u początków filozofii europejskiej. W tym okresie na polu myśli działali tacy filozofowie jak Tales, Anaksymander, Anksymenes. Nie wymieniam ich wszystkich ponieważ nie jest moim celem opis poglądów filozofów tamtego czasu, ale wydobyć pewnych faktów mających miejsce w tym okresie rozwoju filozofii. Byli, jak podaje Tatarkiewicz „pierwszymi” którzy zadając pytanie o początek bytu, udzielali na nie odpowiedzi w formie i treści bliskie temu co obecnie nazywamy dyskursem filozoficznym. Szukając odpowiedzi o początek bytu, myśliciele tamtego okresu już żywili przekonanie o możliwości monistycznego ujęcia prawdy o świecie. Woda, ogień, powietrze, ziemia, czy połączenie tych elementów stanowiły treść zawartą w odpowiedzi. Ale sama odpowiedź byłaby nic nie znacząca, gdyby nie podparcie jej formy argumentacją. W procesie argumentacji mamy do czynienia z myśleniem rysowanym w pewną formę stanowiącą o tym czy dana wypowiedź jest sensowna czy nie. Zaczyna się formować myślenie tak specyficzne dla filozofii: myślenie pojęciami. Bo czymże są używane przez owych myślicieli słowa określające początek bytu, jak nie zamiennikami pojęć ogólnych wytworzonych w późniejszym okresie? Następnym przedśpiewem nadchodzącej filozofii jest polimorfizm udzielanych odpowiedzi. Ta sytuacja tworzy motyw do poszukiwań odpowiedzi „najlepszych”. W sytuacji braku jasno zarysowanych kryteriów oceny określenie czyja odpowiedź jest, a czyja nie jest do przyjęcia wytwarza potrzebę poszukiwania owego kryterium. Na tym etapie istnieje naiwne przekonanie, że odpowiedzi na pytania, które można by nazwać metafizycznymi należy poszukiwać posilkując się treściami zawartymi w świecie materialnym. To uzależnienie myślenia o świecie widzialnego przekroczył Anaksymander tworząc pojęcie apeironu, jako zasady świata. Jest to bodajże przełomowy moment w rozwoju idei rozumu. Anaksymander jako jeden z pierwszych zauważył, że należy wyjść poza świat realny ku innym formom myślenia - mianowicie ku formie abstrakcji. Ale brak na tym etapie „narzędzi” w postaci pojęciowej obróbki rzeczywistości, zmusza filozofów tego okresu do recepcyjnego traktowania treści wpisywanych w formę udzielanych odpowiedzi. Anaksymander jest w tej grupie myślicieli pre-filozoficznych wyjątkiem.

Na tej „bazie”, a raczej na uświadamianiu sobie jej braku zaczyna tworzyć się nowa filozofia. Przewrotem w pojmowaniu przedmiotu filozofii były podglądy Sokratesa. Tak jak dla filozofów przyrody, przedmiot dociekań „a raczej mniemań był świat, w swej najogólniejszej formie. Skupiając się na poszukiwaniu zasady stanowiącej o świecie, czyli arhe, nie zajmowali się stricte zagadnieniami antropologicznymi. Istnieją oczywiście treści traktujące o szczęściu, dobru, roli człowieka w życiu społecznym i jego relacjach z ludźmi i bytami metafizycznymi, które odnajdujemy w tzw. gnomach. Nie można natomiast mówić o filozofii człowieka jako systematycznego, i głównego zagadnienia. Treści te istniały w formie pobocznej refleksji. Tę lukę wypełnia Sokrates.

Przedmiotem filozofii dla Sokratesa był człowiek. Jak podaje Arystoteles : „Zajmował się jedynie sprawami etycznymi cnoty. Zaś przyrodą nie zajmował się wcale”.² Punkt ciężkości filozofowania został więc zawężony w porównaniu z metafizycznymi dociekaniem filozofów przyrody. Sokrates próbował na polu etyki i logiki osiąść wiedzę o świecie, której źródłem była dusza człowieka. Charakter tej wiedzy miał charakter ogólnych stwierdzeń. Analizując poszczególne przypadki, odmiany tych samych stanów budujemy na podstawie informacji, które łączy rodzaj przedmiotu, co do których się odnoszą sądy ogólnej natury. W taki sposób

² w:[Tatarkiewicz W., *Historia filozofii*, T. I, PWN, Warszawa 2002, s.40

Sokrates rozmawiając ludźmi określa czym jest Dobro, Cnota, Szczęście. Tak daleko posunięte obiektywizacje pozwalały następnym filozofom na swobodę tworzenia podobnych systemów, w których przy pomocy pojęć możemy opisać świat. „Ofiarą” takiej konsekwencji był uczeń Sokratesa Platon.

Zanim jednak przejdę do omówienia wątków systemu filozoficznego Platona chciałbym zatrzymać się na chwilę na tym etapie pracy. Otóż wydech jest potrzebny by nie zgubić wątku przewodniego. Mam tutaj na myśli następującego w dziejach filozofii procesu obiektywizacji. W związku ze Sokratesem należy zaznaczyć, że sfera myślenia bardziej łączy się z pojęciem umysłu, niż miało to miejsce u filozofów przyrody. O ile u „przyrodników” przedmiot filozofowania był niejako oddzielony od podmiotu, a była nią przyroda, o tyle w koncepcji sokratejskiej przedmiot filozofii osadzony jest na autorefleksji. Proces autorefleksji nie jest aż tak bardzo rozbudowany jak w przypadku systemu Arystotelesa, którego poglądy omówię w następnej części pracy, ale posiada wstępny zarys, którego istota zasadza się na osadzeniu zarówno treści jak i przedmiotu w jednym centrum – umyśle.

W jednym pojęciu możemy opisać system platońskiej myśli, a mianowicie : idealizmie ontologicznym. Osoba, która posiada erudycję filozoficzną może nie zgodzić się z moim stwierdzeniem. Przyznam jej zupełną rację, ponieważ system Platona, zależnie od interpretacji można by nazwać materializmem ontologicznym. Ale problem interpretacji jest w gruncie rzeczy wyznaczany przez światopogląd naukowca. Chciałem, pokazać na tym dość prostym przykładzie problem pojęciowego określania rzeczywistości myśli, świata, zmiany. Niech Platon pozostanie nieokreślony pod tym względem.

Ale o czym tutaj mówimy? Co określić? Platona czy to co głosił? A może jedno i drugie to to samo? Mówimy tutaj o systemie, którego budowniczym był Platon. Mówimy tutaj o treściach, a raczej w tej fazie to nawet nic z nich nie padło. Wiec niech pokruszą się myśli tworzone przez wielkiego filozofa – Platona.

Jak już wspomniałem powyżej, wiedza u Sokratesa miała charakter ogólny. Powiedział się również, że była ściśle utwierdzona w świecie materialnym, praktycznym, którego źródłem była autorefleksyjność jednostki ludzkiej. Wiedza miała swoje podłoże ontologiczne w duszy człowieka. Była z nim nierozzerwalnie związana.

W systemie Platona natomiast następuje „oderwanie” wiedzy prawdziwej. Jest to związane z powiększającym się poziomem abstrakcji. Dla Platona istnieją dwa światy. Pierwszym z nich jest świat zmiennej materii. To w nim żyjemy, to on jest przedmiotem naszych codziennych spostrzeżeń. Drugim światem jest świat idei. Otóż Platon umieszcza wiedzę prawdziwą w świecie idei: jako niezmiennej sferze bytu. Dla Platona wiedza więc nie jest czymś zawartym w świecie materialnym. To co możemy na temat takiej wiedzy powiedzieć to tylko to, że jest odbiciem, refleksem jej odpowiednika obiektywnego – idei. Istotą tej relacji jest nieadekwatność. Adekwatność wiedzy – czyli jej charakter obiektywny zawiera się w ideach. To idee są nośnikami treści obiektywnych. Implikacją dla takiego założenia jest niezmiennność treści poszczególnych idei. O ile dla Sokratesa wiedza mogła być indukcyjnie wyprowadzana ze świata materialnego, poznawanego empirycznie, o tyle dla Platona jej źródło było różne od tego świata. Prawda o „Platonie” zawarta jest w jego platonowości. Nie istnieje prawda o stole ale o stołowości.

Platon zakładając, że prawda powinna mieć atrybut niezmienności umieszcza ją w statycznej rzeczywistości. Dotrzeć może do niej tylko umysł. Efektem poznania umysłowego są pojęcia ogólne. Ale w Przypadku Platona owa ogólność ma ahistoryczny i apraktyczny charakter. Otóż jeżeli świat materii, tak przez owego myśliciela nienawidzony filozoficznie nie zawiera w sobie prawdy, której poznanie wyznacza sens ludzkiemu życiu, to nie pozostaje nic jak tylko oderwanie się od tego świata pełnego iluzji. Taką postawę możemy nazwać ascetyczną, ale w wersji platońskiej to ascetyzm radykalny. Dlatego uważam, że filozofia Platona jest w swej praktyce jałowym dysputowaniem na tematy tak nie związane z przemianą życia codziennego, że aż go nie zauważającej. Tak skrajnie pojęty charakter prawdy nadający jej atrybuty niezmienności, wyłączności zabija człowieka w jego istocie, którą stanowi płynność myśli, a przez to i twórcze myślenie. Świat w filozofii Platona umarł. To filozofia implikująca konformistyczną postawę w stosunku do jednej prawdy: nie istnieje wiele małych prawd o charakterze indywidualnym, ale jedna mająca wyłączność. Filozofia Platona to filozofia lyotarskiego „terroru prawdy”. W sytuacji, w której wielość zostaje usunięta na korzyść jedności rodzi się dogmatyzm, w którym nie możemy mówić o poszanowaniu indywidualności człowieka. Świat ludzi zostaje podzielony, na tych, którzy wiedzą i na tych, którzy mniemają.

Człowiek w takiej sytuacji oddala się od świata materialnego, od świata codziennego doświadczania do sfery bytów idealnych, nie egzystujących w świecie dla człowieka najbliższym i stanowiących jedyną wartość wyjściową – codzienności. W takim świecie, oddalonym, wyalienowanym Platon nie jest Platonem, ale odbiciem Platona! Żeby poznać Platona – drugiego człowieka – musimy go ująć w jego idei. Rozum jest tutaj istotniejszy od przedmiotu poznania, a nawet można by zasugerować, że sam staje się przedmiotem i zarazem źródłem poznania.

Na tym etapie widać wyraźnie emancypację – usamodzielnienie się – rozumu, o której wspomniałem na początku. W dążeniu do prawdy człowiek ujednolicił swoje istnienie ze sferą bytów, których charakter atrybutywny może być ujęty jedynie przez umysł. W moim przekonaniu jest to zagubienie podyktowane przez narzędzie, które winno wybawić. O takiej sytuacji pisał Adorno, twierdząc, że oświeceniowy charakter rozumu, jego wyzwalające moce skuwają człowieka w swojej niedoskonałości.

Szczytowym osiągnięciem, jeżeli mowa o roli rozumu w poznaniu jest system filozoficzny Arystotelesa. Twierdził on, że i owszem istnieje jedna prawda o rzeczywistości, ale w odróżnieniu od Platona uważał, że idee zawierają się w tym, co określają. Wyróżniając pojęcie substancji – pojętej różnorodnie, ale w tej kwestii rozumianej jako istota rzeczy – Arystoteles przyjął, że ona nadaje materii atrybuty stanowiące o tym, czym dana rzecz jest. Substancja jest formą – analogicznie do platońskiej idei, – która, aby zaistnieć w świecie materii potrzebuje treści. Treścią, czyli tym, co wypełnia formę jest czynnik, który dla Platona był odsunięty, zdezonizowany, a mianowicie materia. W tym świetle świat jest złożony z dwóch składników: formy – istoty, niezmiennej, nadającej cechy atrybutywne, i materii – części poddającej się określeniu, z więc i zmiennej. Jak zauważa wielu badaczy myśli Arystotelesa, filozof ten włączył świat empirii do świata idei nadając mu przez to walor poznawczy. Uważam, że ten fakt jest przełomem w doświadczaniu świata, w jego eksplorowaniu.

Człowiek Arystotelesa wie, że istnieje jedna prawda o rzeczy. Wie również, że ta prawda jest zawarta w samej rzeczy, w jej substancji. A więc nie porzuca świata empirii, aby odkryć prawdę – jak to miało miejsce u Platona. Człowiek Arystotelesa tworzy pojęcia o rzeczach – bo tym jest owa prawda: pojęciem. Świat jawie się w takiej sytuacji jako zbiór pojęć, które w powiązaniu ze sobą tworzyć mogą zwarty system. Czyli paradoksalnie można stwierdzić, że Arystoteles sprowadzając prawdę z nieba – idee platońskie – na ziemię, przyczynił się do większego, bo realnego jej panowania. Świat jest w takiej sytuacji zbiorem definicji, rzeczy poznawalnych rozumowo. Więc martwy świat idei platońskich został wpisany w istotę świat empirii. Świat zostaje, w takiej interpretacji określany, przewidywalny, statyczny, czyli posiadający cech racjonalności. Implikacja płynąca z ontologii Arystotelesa jest taka sama jak z platońskiej nauki o ideach: poznanie rzeczywistości (idealnej – Platon, materialnej – Arystoteles) posiada charakter obiektywnej możliwości, której treść przybiera formę niezmienną, jednej i ponadczasowej prawdy. Świat w takim ujęciu traci swój labilny charakter, a jeżeli go posiada to zostaje to również zrationalizowane. Taką racjonalizacją u Arystotelesa jest pojęcie entelacji, czyli granicy zmienności danej rzeczy. Ale takie rozumienie zmienności nie jest wcale „odstępstwem od reguły”, a raczej jej potwierdzeniem. Bo rzecz posiada w swojej formie pewną swobodę zasadzającą się na potencji. Potencjalne w rzeczy jest to co możliwe. Zakres możliwości możemy określić przez poznanie istoty rzeczy, jej substancji, a zarazem formy rzeczy. Idąc za myślą Arystotelesa możemy stwierdzić, że wolnością, spontanicznością świata jest sfera jego potencjalności. Świat jest martwy w formie, która wyznacza granice. W świecie żyje tylko materia, ale zakres jej życia jest wyznaczony z istoty przez formę.

Zarysowując główne cech wybranych filozofii starożytnej, starałem się przedstawić wzrastającą emancypację rozumu, czyli proces, w którym świat zmienności, staje się światem stałości określonej przez rozum. Ale głównie chciałem zwrócić uwagę na fakt, że w tym procesie emancypacji tworzy się jedno pojęcie prawdy o rzeczy i rzeczywistości. Prawdy, która zdeteminowana w swojej istocie przez jej zdefiniowanie, służy rozumowej dominacji w świecie. W takiej sytuacji o tym, co ludzkie możemy wnioskować po przez odniesienie do tego, co rozumowe.

Cechą charakterystyczną dla tej epoki jest wiara w możliwość poznania prawdy przy pomocy rozumu. Ustala się również kryterium prawdy – jest nią to wszystko, co rozum potrafi objąć i scalić przy pomocy pojęć i metod. Również cechą charakterystyczną tego okresu jest przekonanie, że prawda o rzeczywistości i człowieku jest zawarta na zewnątrz, z boku samego człowieka i świata. Rozumiało się przez to fakt, że prawda chwytywana przez rozum ma charakter niezmienny, więc nie zawierająca się w zmiennym bycie, jakim był świat materii i człowiek.

Wymienione cechy epoki starożytnej wydają się tworzyć specyficzny klimat, zarysowują charakterystyczną bazę świata zachodu. Tym co się tak wyróżnia i tworzy pewną całość jest prymat rozumu. W nieco odmiennej formie tę zasadę zauważyć również można w filozofii średniowiecza, które tylko w pobieżnej periodyzacji jest różny od epoki poprzedniej, a w rzeczywistości jest jej przedłużeniem i kontynuacją.

Epoka średniowiecza kojarzona jest z epoką panującego irracjonalizmu, przodowania fides nad ratio. Myślenie w taki sposób o tym okresie jest złudny. W filozofii dwóch św. Augustyna i Tomasza z Akwinu widzimy ten sam sposób myślenia o świecie, zasadach bytu czy stosunku poznawczym człowieka do świata zewnętrznego. Cechą różnicującą średniowiecze od starożytnego „pogaństwa” jest tylko treść pojęć i punktów ich odniesienia. Świat platońskich idei zostaje w filozofii Augustyna zastąpiony Państwem Bożym. Refleksja arystotelesowska, czyli myślenie w granicach rozumu zostaje u Tomasza z Akwinu wykorzystana do określania dogmatów wiary.

Poczyniony zarys recepcji głównych myśli starożytnego racjonalizmu przez filozofię średniowiecza stanie się widoczny, kiedy wykazemy, że proces emancypacji rozumu przebiegał w tej epoce torem wyznaczonym przez Arystotelesa i Platona, znacznie zwiększając pole emancypacji rozumu. W epoce Tomasza z Akwinu rozum, jako jedyne źródło prawdy i sensu życia został umieszczony nie w pojęciach – platońskich ideach – ale w dogmatach wiary. Dogmaty same w sobie nie były czymś, co rozum odkrywa przy pomocy odpowiedniej metody. Były one granicą rozumu, przez którą on musiał się przebić. Przyjęcie przez religię świata zachodniego idei osobowego Boga spowodowało sytuację, w której zabrakło miejsca na logiczne wynikanie, czy racjonalne przetrwanie rozumu. Taka sytuacja zmusiła ówczesnych filozofów chrześcijańskich do stworzenia nowej racjonalności – racjonalności opartej na wierze a podbudowanej rozumem. Dlatego dogmat jako prawda objawiona, jako prawda skończona nie podlegał weryfikacji. Był tym czym idea Platona – uśmierceniem świata materii, ale w tym przypadku uśmierceniem również ruchu myśli.

Podobnie jak w starożytności człowiek nie tworzy prawdy, ale ją odkrywa. Ale o ile „dawcą” prawdy był świat idei czy substancji zawartej w rzeczach, o tyle dawcą prawdy w średniowieczu jest osobowy Bóg. To on umieszcza je w ludzkim umyśle. To on udziela łaski, czyli umożliwia jej poznanie nielicznym.

W moim rozumieniu idea osobowego Boga zarysowana w średniowieczu jest ucieczką człowieka od rozumu, czy ucieczką rozumu od człowieka. Chodzi mi o to, że o ile w starożytności prawda zawarta był albo w przyrodzie, albo w świecie różnym od przyrody. Człowiek nie nadawał owemu źródłu cech własnych. To w czym zawarta była prawda było różnych od człowieka. W średniowieczu dawcą prawdy jest natomiast upersonifikowany rozum – Bóg. To w nim człowiek swoje wszystkie doskonałości, tylko że w wymiarze totalnym i wyidealizowanym. Można powiedzieć, że człowiek tworząc osobowego Boga, jako emanację rozumu usamodzielnia go, daje mu władzę nad światem i sobą. Czyli można powiedzieć, że w tym czasie następuje szczytowy moment emancypacyjny rozumu. Rozum staje się osobnym, różnym ontycznie od człowieka bytem – staje się jego Bogiem.

Emancypacja rozumu, stanowiąca istotę mojej pracy nie zostanie dosłownie zrozumiana jeśli nie wspomni się o następnej, poza definicją, Bogiem składową tego co nazywam tutaj wynikiem emancypacji rozumu. Mam tutaj na myśli naukę, z jej specyficzną metodologią, ale przede wszystkim założeniami. Zanim przejdę do omówienia tej kwestii chciałbym się zatrzymać na historycznych źródłach tej implikacji.

Rozważania filozofów starożytnych miały na celu „zneutralizować” byt przez jego poznanie. Owo „zneutralizowanie” bytu przebiegało w większości przypadków na poziomie poza pragmatycznych. Nie liczono na wymierne skutki spekulacji, lecz na poznanie prawdy w najogólniejszym znaczeniu, czyli takiej, której istota byłaby pozaczasowa, ahistoryczna, wieczna i niezmienna. Dopiero od Francisca Bacona możemy mówić o wymierności w poznawaniu, eksplorowaniu świata zewnętrznego. Zdaję sobie sprawę, że postawienie zarysowanej granicy jest znacznym uproszczeniem, ale na potrzeby zrozumienia treści wystarczy.

Otóż F. Bacon traktował poznanie jako proces dzięki, któremu człowiek może zapanować na światem obcym, czyli przyrodą. Rozum u Bacona poznając świat przyrody zamykał go w prawidłowości i przewidywalności. Ten proces narzucania na świat zewnętrzny kategorii umysłu jest cechą akcydentalną nauki. Człowiek tworzy standardy poznawcze, dzięki którym może obracać się pewnie w świecie. Jednym ze standardów, o których wspominałem jest założenie Bacona o mocy drzemącej w człowieku do tego aby „okiełznać” dziką naturę. To założenie daje się odszukać we współczesnych tendencjach nauki.

Można powiedzieć, że założenie Bacona posłużyło następnym z rozwój tej dziedziny poznania jaką jest nauka.

Emancypacją rozumu jest. Człowiek pragnie rozumieć, poznawać. Ten pęd człowieka powoduje powolne uwalnianie się narzędzia poznania jakim jest rozum w stronę przedmiotu poznawania – czyli świata. Rozum nie znosi pustki, niedomówień a pragnie pewności, totalności. Człowiek zawierzył rozumowi. Tendencje odbiegające od tego standardu są marginalizowane, odrzucane na bok, pomijane. Wieloznaczność, subiektywizm poznawczy jest „niemile” widziana w krainie rządzonej przez rozum – krainie pewności. Tworzenie standardów, pojęć, definicji, jest dla nas współczesnych tak oczywistym rezultatem poznania, że trudno nam sobie wyobrazić, że może być inaczej. Bezzałożeniowość jest fikcją. Zawsze w założeniu będzie zrozumienie, a więc kategoryzowanie wyników poznawczych, ujęcie ich we spójną całość.

Można zatem powiedzieć, że rozum jest wszędzie. Gdziekolwiek się nie rozejrzymy tam widzimy pojęcie, nazwę, która coś oznacza, czyli coś nam tłumaczy. W momencie, kiedy owo „coś” umieścimy w ciągu metodologicznym wtedy mamy do czynienia z początkiem rozumienia. Natomiast kiedy opracujemy wyniki owego metodologicznego ciągu wówczas tworzymy prawa. Prawo jest wyabstrahowaniem z rzeczywistości pewnego zbioru elementów, które w połączeniu w ciąg czasowy dają się przy pewnych, niekiedy w specyficznych warunkach powtarzać z takim samym skutkiem. To kazuistyczne patrzenie na naukę jest dla mnie czymś dla niej specyficznym. Rozum sam stworzył kazuistykę. Świat może być chaosem.

Ja, podniecony kretyn, ja obywatel Rzeczypospolitej, ja śledź...

Czytałem jakoś na początku kwietnia chyba, w tym piśmie, którego naczelnym jest Piotr Najsztub, to bodajże przekrój jest – mniejsza w tej chwili o to, czytałem tam wywiad z doktorem Markiem Edelmanem. Podobno Edelman bardzo niechętnie udziela wywiadów, tym większe uznanie należy się Najsztubowi. W rozmowie tej, dotyczącej głównie wojny w Iraku, Edelman nazwał pacyfistów, przeciwników wojen, do których i ja śmiem siebie zaliczać, „podnieconymi kretynami”, a samą inwazję na Irak „wojną, która ma sens” czy coś w tym rodzaju. I stwierdził jeszcze, iż bardzo to dobrze, że Polska się w nią zaangażowała. Poczułem jakiś dziwny, trudny do wyrażenia smutek, kiedy czytałem te wypowiedzi. Przypomniałem sobie, jak parę już ładnych lat temu czytałem ze sporym przejęciem inny, dużo obszerniejszy wywiad, jakiego udzielił Marek Edelman, ostatni dowódca powstania w warszawskim Getcie, zastępcą M. Anielewicza, dziennikarce Hannie Krall. Chodzi mi, jak łatwo się domyślić, o „Zdążyć przed Panem Bogiem”. Pamiętam jeszcze, jak pisałem wówczas pełne rozgorączkowanego patosu wypracowania, w których było coś o bohaterstwie, o odwadze, o okrucieństwie i bezsensie wojny, o nieodwracalnym okaleczeniu jej ofiar i odczłowieczeniu agresorów. Zestawiałem sobie wówczas wyobrażenia Edelmana – powstańca w piekle wojny i później, po latach – kardiochirurga walczącego o ludzkie życie na sali operacyjnej. Mijała kolejna rocznica wybuchu powstania w warszawskim Getcie – tego wbrew nadziei i wszelkiemu prawdopodobieństwu wyrażonego wielkiego sprzeciwu wobec pokornego poddawania się szlachetowaniu przez oprawców, krzyku o prawo do istnienia – tak to mniej-więcej zawsze odbierałem, rozumiałem. Mijała w kwietniu ta kolejna rocznica i przypomniałem sobie znowu te dwa wywiady z Markiem Edelmanem – ten udzielony przed laty Hannie Krall i ten, który w tym roku uzyskał Piotr Najsztub. Ze smutkiem skonstatowałem, że chyba opatrnie to wszystko zrozumiałem – albo byłem głupi wtedy, parę miesięcy przed maturą, albo głupi jestem teraz – kilka miesięcy przed magisterium. A jednocześnie i dziś byłbym skłonny myśleć o Marku Edelmanie – przywódcy powstania, tak jak wtedy, parę lat temu. I chciałbym nadal myśleć o nim, jako o kimś kto zna okrucieństwo wojny jak niewielu ludzi. Pamiętam jak wspominał w „Zdążyć przed Panem Bogiem”, że długo jeszcze po tych tragicznych wydarzeniach w Getcie, długo po wojnie, nie potrafił zdobyć się na żadną aktywność, dostrzec cienia sensu w czymkolwiek, jak martwy, choć przecież jako jeden z niewielu przeżył...Chciałbym zapytać, ja – podniecony kretyn, o co tu w tym chodzi ? Nie bardzo wiem, kogo zapytać. Może to i lepiej, bo w gruncie rzeczy boję się możliwej odpowiedzi. Kiedy to pytanie zadaję sobie – jak radził Nietzsche – to wydaje mi się niekiedy, że aby znaleźć odpowiedź trzeba albo zacząć krzyczeć, albo się obudzić, ewentualnie zacząć krzyczeć, żeby się od tego krzyku obudzić. A kiedy, rzadko co prawda, śledzę relacje w niektórych publicznych mediach, to zastanawiam się czy tutaj jest jeszcze Rzeczpospolita, czy może raczej publiczna, jak i te media. Może głupi jestem jakiś, ale nie potrafię pochodzącej z nich papki informacyjnej przetrawić i jakoś mnie ona nie przekonuje. Skoro nawet powodująca u mnie dysonans poznawczy wypowiedź Marka Edelmana nie przekona mnie do tezy o słuszności i sensowności wojny, to tym bardziej (choć mało ich to obchodzi, jak dali temu swego czasu wyraz) nie przekona mnie pan premier Miller, pan prezydent Kwaśniewski, a już na pewno mnie nie przekona pan (skoro dwaj poprzedni mieli przedrostek „pre” w tytule, to niech będzie tak i tym razem) prezydent Lis. Ten ostatni – taka jest moja prywatna opinia, stopniowo, od dłuższego już czasu, przeistacza się z dziennikarza w niezbyt wyrafinowanego agitatora (przy czym chciałbym, aby słowo agitator rozumieć tu jak najbardziej pejoratywnie, co samo w sobie oczywiście nie jest, wszak i Edward Dembowski był agitatore, ale w jego przypadku to chyba raczej powód do historycznej chwały). Dobrze to dla niego osobiście rokuje – najwyższe szczeble kariery wcale nie są bowiem wobec tego zbyt wysoko. Gorsze są rokowania dla odbiorców publicznych mediów. I nawet nie chodzi o to, że za niemały wcale dla kieszeni większości Polaków abonament, znów nic nie było do oglądania w telewizji, a to najpowszechniej wybierany środek rozrywki i masowej informacji, również przez młodzież (robiłem takie badania w zeszłym roku). Rzecz w tym, że ostatnimi czasy funkcja propagandowa (swoją drogą skąd taka się wzięła w mediach demokratycznego państwa, gdzie mamy wolność i pluralizm światopoglądowy, polityczny itd.) wyraźnie przeważa nad funkcją informacyjną, a nawet nad rozrywkową. Rzygać się chce od tej propagandowej papki, w której rzetelna strona merytoryczna została sprowadzona do trudno wychwytywalnego minimum, a retoryka będąca na usługach tej propagandy przypomina na przemian: to majaczenie w gorączce, to komendy wydawane psu na szkoleniu.

Nie jestem wcale wielkim zwolennikiem cenzury. Czasem nawet funkcjonujący w tym tu „magazynie ogólnohumanistycznym” Cg. Cenzor wydaje mi się ciężkostrawny (nie żeby go jadł, czy coś tam takiego). Jednakże trudno jest mi oprzeć się wrażeniu, że głupota powinna być trochę w ryzach. Agitacja w kwestii Unii Europejskiej rozsada już ramy dobrego smaku. Jej realizatorzy za grube pieniądze traktują odbiorców jak śledzie, albo raczej już rolmopsy, bo cały śledź ma jeszcze głowę, a w głowie mózg. Przypomnijmy sobie choćby opowiadki Wołoszańskiego, pogadanki łysawego faceta z tytułem doktorskim (a to z niby pielęgniarką rozmowa o zaletach Unii, a to z jakimś przedsiębiorcą, gdy w tle, za oknem wiszą na uprzęchach do robót na wysokościach jego rzekomi dwaj pracownicy), albo scenki w których pan aktor Andrzej Grabowski (bardziej już

chyba znany jako Ferdynand Kiepski) gra gościa, który rozmawia ze swoją żoną tłumacząc jej (bo ona to głupia, wiadomo – jak to kobieta) korzyści płynące z wstąpienia do Unii Europejskiej, a później – ku zdumieniu szwagra – idzie gotować ziemniaki. Coś bardzo to przypomina te reklamy, w których dziecko bawi się samochodzikami w kiblu, a matka siłą je odciąga od muszli, po czym pani aktorka podpisana na ekranie jako jakaś tam doktor, nota bene z kropką na końcu tego skrótowca, tłumaczy jakie to groźne bakterie i wirusy czyhają w sracu na nasze życie i życie naszych niewinnych pociech. Nasuwa się krótkie pytanie: pogięło? Coś mi się wydaje, że tak. Albo ten zegar, który w telewizyjnych „Wiadomościach” odmierza godziny, minuty i sekundy, jakie pozostały do rozpoczęcia dwudniowego „referendum unijnego”. Ewentualnie materiał jaki widziałem kiedyś tam w telewizji (można pomyśleć, że ja nic nie robię innego, tylko gapię się w telewizor. A ja naprawdę mało telewizję oglądam.) dotyczący zmiany napięcia prądu elektrycznego w domowych instalacjach (z 220 na 230 volt), które ma nastąpić po przystąpieniu Polski do Unii Europejskiej. Jakiś facet mówił w tym materiale, że to w zasadzie nic nie zmieni, tylko żarówki będą jaśniej świecić. Moja żarówka świeci wystarczająco jasno. Argumentowano też potrzebę wprowadzenia tej zmiany tym, że jest tak wszędzie i że urządzenia zasilane prądem będą spełniać jednakowe standardy techniczne. Zastanowiłem się wówczas jakie to ma znaczenie dla tych urzędów, skoro dopiero co powiedziano, że nic się nie zmieni. Brakowało mi tylko w tym materiale zdania typu: „drodzy widzowie, bezmózgie rolmopsy”. Chyba nie liczy nikt na ogromny eksport polskich urzędów zasilanych prądem elektrycznym. Nie dlatego, że są złej jakości, tylko dlatego, że w zasadzie wcale ich nie ma. Wiecie co to jest brzeszczot? Taka mała piła głównie do cienkiego metalu, kosztująca niespełna złotówkę. Wyczytałem gdzieś, że do Polski importuje się kilkadziesiąt tysięcy takich pił. Do kraju, którego przemysł metalurgiczny zabezpieczał przed laty znaczną część potrzeb olbrzymiego Związku Radzieckiego. Jeszcze raz to samo pytanie się pojawia: pogięło? Wszystko wskazuje na to, że tak...

Przyznam się, że nie wiem właściwie, czy integracja z Unią Europejską jest jedyną szansą dla Polski, czy w ogóle jest jakkolwiek szansą. Nie wiem, czy to pomoże, czy zaszkodzi naszemu krajowi. Nie wiem też, czy uda mi się być w miejscu gdzie figuruję jako uprawniony do wzięcia udziału w referendum, w siódmym i ósmym dniu czerwca. Wiem natomiast, że jeśli to mi się uda, będę głosował przeciw akcesowi Polski do Unii Europejskiej. Nie dlatego, że jestem fanatycznym narodowcem. Dlatego, że obraża mnie ta cała wieloletnia już miesiocy trwająca akcja propagandowa, a nie lubię propagandy. Dlatego, że mówią młodym ludziom: „najlepsze uczelnie w Europie będą czekać na was właśnie, tylko zagłosujcie jak należy!”. A przecież wiadomo doskonale, że wcale nie będą czekać, wielu młodych ludzi w Polsce nie może rozpocząć studiów w jakiegokolwiek rodzimej uczelni, ze względu na brak środków finansowych. Wielu aby móc studiować musiało się zadłużyć. O kredytach i pożyczkach wiadomo tyle, że trzeba będzie je zwrócić, nie zawsze wiadomo w jakiej wysokości, a rzadko już chyba bardzo wiadomo z czego jej zwrócić. Owszem, mówi się, że nauka w szkołach publicznych wszystkich szczebli jest w Polsce bezpłatna (nie w każdym kraju europejskim tak jest) i to jest prawda, tylko że poprzez samą naukę, to się można czegoś nauczyć, natomiast żeby ukończyć jakąś szkołę, to jeszcze za mało. Poza tym, żeby się uczyć trzeba żyć, bardzo prawdopodobne że jest to zależność silnie wiążąca i o powszechnym zakresie obowiązywania. A żyć trzeba za coś, wielokrotnie bowiem dowiedziono już empirycznie, że żyć samym tylko powietrzem, miłością, muzyką, ciekawością, zamiłowaniem do wiedzy, ambicjami itd. nie da się zbyt długo. Jeśli będą do tego jeszcze jakieś płyny, to bodajże około siedemdziesięciu dni w porywach, czyli niewiele. Mówią też owi agitatorzy, że zmniejszy się bezrobocie, bo jak nie będzie pracy w Polsce, to się ją znajdzie w jakimś innym kraju Unii Europejskiej. Ciekawe w jakim, skoro na początku 2002 roku we Francji stopa bezrobocia wynosiła blisko 9%, w Hiszpanii 13%, w Niemczech przeszło 9, tak samo w Finlandii, we Włoszech, w Grecji. W zasadzie tylko w dwu państwach z całej obecnej piętnastki (w Holandii i Luksemburgu) wskaźnik bezrobocia charakteryzuje na biedę tzw. bezrobocie frykcyjne, czyli 2-3% poszukujących pracy (w całej liczbie zdolnych do pracy i chętnych do jej podjęcia), którzy wkrótce ją znajdą. Nie wiem jakim cudem bezrobotni Polacy znajdują zatrudnienie w tych krajach, które same nie całkiem radzą sobie z bezrobociem wśród własnych obywateli, delikatnie rzecz ujmując. Z okazji Święta Pracy (czyli – gdyby ktoś już zapomniał – 1 maja) były tu i ówdzie (m.in. w Niemczech) demonstracje uliczne, także pod hasłem poprawy warunków bytu ludzi pracy, zmniejszenia bezrobocia. Nie wszędzie, ale gdzieś tam w odpowiedzi na te wystąpienia władze zorganizowały ich uczestnikom świąteczną niespodziankę w postaci policyjnej napierdalki. Okazuje się, że w raju „Wspólnoty Europejskiej” też można oberwać pałą po dupie i nerkach w majestacie prawa i od tych, którzy ów majestat reprezentują. Co do słowa wspólnota, to użyłem go, bo parę razy i takie określenie w odniesieniu do Unii Europejskiej obito mi się o uszy, choć zupełnie go nie rozumiem. Co niby ma być wspólne w tej „wspólnocie”? No bo chyba nie problemy – „to nasz wspólny problem i wspólnie go rozwiążemy”. Z kolei sztuczność wspólności fragmentu dziewiątej symfonii L. Beethovena i pewnej ody F. Schillera (tego, którego podręczniki do nauki języka niemieckiego niezmiennie wymieniały w czytankach jednym tchem razem z Goethem, choć wielu twierdzi, że to zupełne nieporozumienie. Tak również twierdziłby stanowczo F. Nietzsche, choć przecież nie widział wydanych w dwudziestym wieku w Polsce podręczników do niemieckiego, osobiście zaś tych, z których uczył się ze zmiennym powodzeniem piszący te słowa) aż razi chwilkami w oczy, co nie ma – pragnę zastrzec – nic wspólnego z ksenofobią, nacjonalizmem, ani szowinizmem. Po prostu kompromitujące byłoby stwierdzenie, że Beethoven był „trochę Polakiem”, bo nie był, tak jak Polacy nie są trochę Beethovenem.

Gdyby napisać w podręczniku, że Beethoven urodził się w Europie, a nie tam takie szczegóły, że w Bonn i że największe swoje dzieła skomponował w Wiedniu, stąd nazywany jest jednym z klasyków wiedeńskich, to pewnie byłoby mniej informacji, najczęściej w życiu nieprzydatnych, do przyswojenia. Wcale nie jest powiedziane, że taki numer nie przejdzie, a nawet można go uznać za dosyć prawdopodobny przeglądając najnowsze podręczniki szkolne, szczególnie do podstawówki i gimnazjum. To nie jest oczywiście regułą, ale – gdy się te podręczniki przegląda, to często ma się wrażenie, że z zarzutem nadmiernego encyklopedyzmu w programach szkolnych poradzono sobie tak, że wyrwano z encyklopedii gdzieś około połowy stron. Ale nie powinienem tek wszystkiego od razu krytykować. Po kolei, nie da się wszystkiego skrytykować w jednym tekście, a poza tym, aż tek bardzo się nie spieszy. Powróćmy zatem do propagandy i jej szczególnie ostatnio popularnej odmiany – propagandy „przereferendalnej”, albo „prounijnej”. Aktywnie włączył się do niej sam obecny pan Prezydent RP, ten sam który wyruszył na wojnę przeciw S.Husainowi – wciąż bowiem Polacy mają tego samego Prezydenta i premiera także tego samego (który także swego czasu wyruszył na wojnę z Husainem), choć niektórzy – nie wiem czy mając do tego podstawy – twierdzą że już niedługo będziemy się wszyscy jak tu żyjemy cieszyć tym akurat Panem Premierem. Mniejsza zresztą o to, z całym szacunkiem, na jaki obecny Pan premier zasługuje, nie o nim miała być bowiem mowa, tylko o jego zwierzchniku Panu Prezydencie. Dwunastego maja Pan Prezydent przebywał chwilę w Olsztynie i apelował (no powiedzmy: sugerował) by w czerwcowym referendum (zwanym w mediach akcesyjnym) głosować za przystąpieniem RP do UE. Ciekawa rzecz, wszystkie prawie liczące się w telewizjach partie polityczne aż kipią „euroentuzjazmem” i do tego jeszcze Pan Prezydent, mimo wielu innych jeszcze obowiązków, jeździ po kraju i zaraża owym „euroentuzjazmem” (czy grozi nam epidemia „euroentuzjazmu” niczym epidemia SARS w Chinach ?), a kiedy Pan Prezydent wyruszał z Panem Premierem, kilkoma ministrami i gromadą zbyt ambitnych dziennikarzy (i oczywiście Panem Prezydentem USA, a nawet Panem Premierem Blairem, który mógł przez chwilę owo wyruszenie przypłacić utratą premierowskiego stołka – tak przynajmniej twierdzą niektórzy), to nie pytał swojego narodu, co o tym sądzi i czy mu się taki pomysł podoba. Nawet jakoś udało się przeboleć, że ten pomysł nie podoba się „filarom” niemal Unii Europejskiej – ot choćby Francji i Niemcom, a i ONZ nie bardzo się do niego zapala. Dziwne to trochę... Na płaszczyźnie moralnej obie decyzje (tzn. czy wyruszyć na wojnę i czy zintegrować się z UE) mają wysoką rangę, choć nie mam pewności, czy równie wysoką. Zatem o co tu chodzi ? A może po prostu demokracja jest jak piękna kobieta - nieodgadniona, tajemnicza, niepojmowalna i częstokroć okrutna, tudzież zdradliwa i niekonsekwentna. A może demokracja jest jak latający spodek kosmitów – wielu o nim słyszało, ale widzieli nieliczni i do tego nie ma pewności, czym było to, co widzieli. Może to było wiadro, albo „badawcza ekspedycja” CIA. Swoją drogą ciekawe, co wspólnego może mieć piękna kobieta z latającym spodkiem kosmitów. Wydaje się, że nie ma tu reguły – jedna ma coś wspólnego, a inna nie, w każdym razie nie to, że niewielu widziało. Ale powróćmy do tematu, bo o pięknych kobietach to zawsze można długo mówić, albo jeszcze dłużej milczeć. Tu też nie ma reguły. O latających spodkach też można mówić, albo milczeć. Może też być i tak, że poirytowana piękna kobieta rzuci spodkiem i on polecą, przez co stanie się latający, ale wtedy nie czas ani mówić, ani milczeć, tylko należy wykonać unik jak najprędzej, by nie nastąpiło bliskie spotkanie trzeciego stopnia. Piszę o tym wszystkim, choć to pozornie bez związku z przedmiotem tych rozważań, bo przyszła mi do głowy idea Unii Międzyplanetarnej, albo Unii Galaktyki Drogi Mlecznej. Tylko ile miejsc w międzyplanetarnym parlamencie zajęliby Ziemiańskie i ilu byłoby tam Ziemiańskich z Europy, a osobiście z Polski.

Są jeszcze trzy istotne powody, dla których będę głosował przeciw przystąpieniu Polski do UE (o ile w ogóle będę głosował), czy – by posłużyć się treścią referendalnego pytania – nie wyrażę zgody na to przystąpienie. Nawet jeśli nie wiem jakie jest alternatywne rozwiązanie dla Polski, bo przecież majaczenia o współpracy z NAFTA nie można brać poważnie z wielu względów (moralnych, kulturowych, społecznych, ekonomicznych, wreszcie zdrowy rozsądek i minimum wyobraźni też jakoś się z taką propozycją co niektórych demagogów nie zgadza. Co nie oznacza, że inni, np. ci tzw. „euroentuzjaści” nie uprawiają demagogii. Pewnie że uprawiają i to jeszcze jak i właśnie dlatego nie mogą postąpić tak, jak oni sugerują. A chyba apogeum demagogii stanowią opowieści o tym, że Unia Europejska da Polsce pieniądze – na rozwój gospodarczy, na zmniejszenie bezrobocia, na szkolnictwo, na wzrost demograficzny itd. A niby z jakiej racji miałyby owa Unia dać jakieś pieniądze ? Oj rzadko się zdarza, że ktoś komuś cokolwiek daje za nic. Chyba że w zęby – to owszem, czasem się zdarza że za nic. Albo jeśli kocha, to daje coś komuś dlatego że kocha. Czy jednak Unia Europejska kocha Polskę ? Jeśli tak, to nie jest to zbyt czuła miłość i chyba raczej potajemna, dyskretna bardzo. A może właśnie w zęby dostaniemy za nic, a za całą resztę trzeba będzie zapłacić jakoś. Tylko jak i czy nas na to stać, wreszcie – czy to się opłaca ? Kiedy człowiek jest zmęczony i ma już dosyć, to chętnie nawet w demagogię i propagandę uwierzy, choć wcale to nie znaczy, że jest głupi, raczej że ma już dość tego co jest. Wówczas można prześlizgnąć się po uzasadnieniach i prezentować nośne hasła typu: „przyjdą i nam dadzą”, a obywatele nie pytają „ale jak to możliwe ?” albo dlatego, że jest im już wszystko jedno, albo ponieważ boją się rozwiania tych mrzonek, na których próbuje się zaszczerpić nadzieję na przyszłość, ewentualnie i tak w to nie wierzą, więc po co brnąć, lub nie mają kogo zapytać, a jeśli ktoś rzekomo odpowiada, to używa tych samych haseł w ramach tej samej nieznośnej retoryki, która braki merytoryczne maskuje paradnością i natężeniem frazesów). Nie twierdzę,

że Unia Europejska to zło, siedziba szatana itd. (jak Prezydent Bush mówił o Iraku), bo to nie tak. To raczej pewien twór nastawiony na zysk gospodarczy, ale nie wspólny i równy zysk wszystkich przynależących, bo i dochody ani wspólne, ani równe, podobnie i wymagania. Może słuszne jest, aby Polska tam przystąpiła, nawet jeśli dostanie w zęby i będzie przez lata całe generować zyski dla większych, silniejszych i dłużej do Unii należących, czekając cierpliwie na swoją kolej w tym specyficznym „łańcuszku świętego Antoniego” – tak się chyba to nazywało, albo „łańcuszek szczęścia” – znajdowało się trzech nowych uczestników, oni wpłacali do centrali pieniądze i mieli obowiązek zwerbować po trzech kolejnych itd. – łańcuszek się rozrastał, a forszę z centrali zgarniał ten, kto był na czele listy i wtedy jego udział się kończył, na czoło listy wychodził następny w kolejce i tak dokąd łańcuch się nie przerwał całkowicie i nie przestała do centrali napływać forsa – była kiedyś taka zabawa, w której uczestniczyło wielu ludzi, zachęconych perspektywą wysokiego zysku – szło o forszę zgarnianą gdy się doczeka pierwszego miejsca na liście. Przy czym oczywiście aby jedni coś zgarnęli, to wielu, wielu innych musiało wtopić tylko kasę, a nie zarobić na tym nic, bo forsa przecież się sama z siebie nie mnoży, jak jest nas dajmy na to pięcioro i składamy się po dyszcze, to mamy z tej „ściepy” pięć dych dokładnie i nic więcej, bo i skąd by się miało więcej wziąć. Może to nadmierne uproszczenie, takie porównanie, nie będę się spierał, jednak coś w tym jest. Wcale nie chcę nikogo przekonywać, że należy głosować przeciw wstąpieniu Polski do UE. Wszyscy przekonują, że należy głosować „za” (rząd, parlament, organizacje pozarządowe, niektóre, środki masowego przekazu, związki wyznaniowe, szczególnie ten w Polsce największy i inne jeszcze podmioty), więc cóż dałoby moje kwękanie, że może jednak głosować przeciw, tym bardziej, że wcale nie jestem przekonany, że należy głosować w czerwcowym referendum przeciw integracji Polski z UE. Wiem tylko tyle, że ja osobiście będę głosował przeciw, albo – tak jak bardzo wielu Polaków – nie wezmę wcale udziału w referendum. Wiem jeszcze, jaki będzie ogólny wynik tego referendum – to nie jest trudne do przewidzenia i raczej trudno sobie wyobrazić sytuację, że będzie inny niż ten, który zewsząd jest promowany. Może jednak warto się zastanowić, czy aby na pewno proponuje się nam wybór między dobrem a złem, rozwojem a stagnacją, biedą a dostatkiem itd., jak można chwilami sądzić, śledząc tę całą propagandową nagonkę. Tymczasem może jest to tylko wybór między złem a złem, biedą a biedą i nie ma się z czego cieszyć, i niepotrzebne, wręcz niestosowne te niebieskie baloniki z gwiazdkami, także flagi, festyny i ta cała agitacyjna szopka, na którą idzie mnóstwo publicznych pieniędzy...Swoją drogą swego czasu wcale nie gorsze chce wyprawiano z czerwonymi flagami – może nie ? A z czasem inaczej zaczęto to interpretować i nawet wspominać, uczyć o tym w szkołach też inaczej zaczęto.

Są jeszcze dwa istotne dla mnie osobiście powody, które kształtują taką a nie inną moją wobec powyższego zagadnienia postawę. Otóż szlag mnie trafia, kiedy słyszę jak w telewizorze Olga Jackowska, którą przecież cenię jako wokalistkę, albo Andrzej Mleczko, którego nie cenię jako rysownika i inni zaczynają swoje agitacyjne wypowiedzi – niby spontaniczne i od siebie, czyli pewnie ktoś im napisał, co mają mówić, dlatego to co mówią takie głupie jest i podobne – od słów „Unio ojczyzno moja...”. Pogięło ? Najwyraźniej.

Drużga z zapowiedzianych wyżej powodów znów od telewizyjnej agitacji się zaczyna i wygląda następująco: w jednym z popularnych programów publicystycznych, poświęconych zresztą, jak wszystko ostatnio, przystępowaniu Polski do Unii Europejskiej, przy okazji poruszania kwestii przyszłego losu posiadaczy niewielkich gospodarstw rolnych (rzędu 1-2 hektary przeliczeniowe) pani posłanka Platformy Obywatelskiej Zyta (swoją drogą co za piękne, romantyczne imię, idealne dla tak delikatnej, czulej i wrażliwej kobiety) Gilowska nazwała gospodarstwa owe działkami pracowniczymi i wyraziła pogląd, że ich posiadacze to żadni rolnicy nie są i na pewno utrzymują się z innych źródeł, więc dyskusja o nich w tym aspekcie nie ma uzasadnienia. Taka mniej więcej była treść tej wypowiedzi. Zdziwiła by się Pani posłanka z Platformy Obywatelskiej, dla ilu ludzi w Polsce ta „działeczka” jest najpoważniejszym, nieraz jedynym źródłem utrzymania...Pani posłanka Zyta Gilowska otwarcie i entuzjastycznie wyraża swoje poparcie dla idei integracji europejskiej. Cóż – Diogenes z Synopy zapytany przez kogoś, kogo nie darzył szczególną sympatią o to, czy wierzy w bogów odparł: „Jakżebym mógł w nich nie wierzyć, skoro wiem, że ty nie wierzysz w bogów ?”. Jakżebym mógłbym popierać pomysł integracji Polski z Unią Europejską, skoro wiem, że pomysł ten podoba się pani Zycie Gilowskiej ?, że pozwolę sobie na parafrazę wypowiedzi Diogenesa z Synopy.

Jak wspominałem tu już parokrotnie, nie mam zamiaru nikogo zachęcać, ani zniechęcać, ani nawet dopomagać w wyrobieniu sobie zdania na temat przystąpienia Polski do Unii Europejskiej, udziału z czerwcowym referendum dwudniowym, tudzież sposobu głosowania tamże. Skoro tak, spyta ktoś, to po co ten przydługi tekst, jaki jego powstawaniu przyświecał cel ? Słuszne pytanie. Odpowiadam: zasadnicze cele były dwa: po pierwsze – sztuka dla sztuki, ot co. A po drugie – treść powyższa uzasadnia i usprawiedliwia poniekąd zdanie, którym niniejszy tekst zakończę. A brzmi ono: w dupie mam agitatorów i propagandzystów, oraz wszystkie brednie, które na użytek swojej propagandy wygadują, niezależnie czego ta propaganda ma dotyczyć. Jeśli czyjeś argumenty są racjonalne, to do racjonalności będzie apelował, a nie robił festyny, rozdawał niebieskie baloniki i podskakiwał podzwaniając błazeńskim dzwonkiem to do gombrowiczowskiej gęby, to do gombrowiczowskiej pupy, czerpiąc przy tym spokojne i beztroskie zadowolenie z przekonania, że to i tak

przejdzie, że to i tak kupią, bo w okół wszędzie same śledzie, rolmopsy nawet, tyle że dwunożne i w ubraniu. A zawsze można jeszcze przecież powiedzieć, że Papież tak radzi, albo że po prostu nie ma innego wyjścia. Tylko jak się kształtuje kwestia wyboru, w sytuacji kiedy istnieje jedna tylko możliwość. No to o czym mowa ? Pogięło ? Najwyraźniej tak.

Diogenes - Pies

PS. Któregoś tam dnia znalazłem pod drzwiami mieszkania znalazłem kolorową zadrukowaną kartkę, na której awersie sporej wielkości napisy wołały: „Nie daj się zjeść ! Powiedz nie Unii Europejskiej”. Fajnie, pomyślałem, ktoś się wyłamuje z tego „owczego pędu” i to na dość sporą skalę i dosyć głośno. Ulotka była sygnowana przez Ligę Polskich Rodzin. Ale ja tam nie mam uprzedzeń, więc z uwagą przeczytałem. Dwa razy, bo po pierwszym miałem nadzieję, że coś przeoczyłem. Ale nie – mglistość, chaotyczność i znikoma racjonalność merytoryczna przytoczonych tam argumentów przeciw była niewiele mniejsza, niż tych wszystkich argumentów za, o których pisałem wyżej. No bo jeśli tekst: „Czas jaki nam wyznaczono na przystosowanie polskiej rzeczywistości do norm unijnych jest krótszy od tego, jakie miały zachodnie kraje Europy” ma być racjonalnym, merytorycznym argumentem przeciw, to chyba trzeba jeszcze wyjaśnić takim głębiom jak ja, przeciw czemu, bo nie wiem.



WARTO – NIE WARTO

ZDECYDOWANIE WARTO:

DEFTONES – DEFTONES: Nie zastanawiałem się długo, którą płytę poddać ocenie. Brak dylematów jest efektem premiery nowej płyty mojego ulubionego zespołu – Deftones. Po sukcesie ostatniej płyty – *White Pony*, kazali aż trzy lata czekać na kolejne wydawnictwo. W końcu jest, a co najważniejsze – jest to płyta, która poziomem odstaje od wielu współczesnych produkcji muzycznych. Biorąc pod uwagę mizериę współczesnej sceny muzyki rockowej, gdzie prym wiodą plagiatorzy, bądź rockowe boys bandy pokroju *Linkin' Park*, *Deftones* okazuje się klasą samą w sobie. Chociaż nie są oni prekursorami nowych stylów muzycznych potrafią grać muzykę, która na pewno inspiruje. Agresja i melodia – tak można scharakteryzować zespół z Sacramento, unikając jednocześnie szufladek, w których krytycy muzyczni się rozsmakowują, zapominając o tym, co w muzyce istotne. Tak jak w wypadku poprzednich płyt, trudno jest zdefiniować jaki to styl muzyczny. W moim mniemaniu to zaleta. Jaka jest ta płyta? Cóż, zdecydowanie za krótka. *Deftones* przyzwyczaili, że na każde wydawnictwo trzeba dość długo czekać, a kiedy już jest, po kilku przesłuchaniach trudno oprzeć się wrażeniu, że mogłoby być dłuższe. To jednak też zaleta. Czy nie śwędziały was kiedyś stopy, kiedy jakiś maniak puszczał wam płytę swojego ulubionego zespołu, a wy po pięciu minutach mieliście dość? Jeżeli wam się to kiedyś

przytrafiło, to mogę obiecać, że nie zdarzy się to w przypadku *Deftones*. Najnowszy produk, który można nazwać *self titled*, zaczyna się niesamowitym wykopem. Utwór *Hexagram* wprowadza w muzykę zawarta na płycie, chociaż nie oddaje tego, co dzieje się dalej. Utwory pełne motoryki, takie jak wspomniany *Hexagram*, czy *When girls telephone boys* stanowią tło dla utworów wolniejszych, opartych na melodii wokalu, takich jak *Good morning beautiful* czy *Deathblow*. Innym ciekawym rozwiązaniem jest umieszczenie na płycie (zresztą jest to dla *Deftones* bardzo charakterystyczne) kompozycji opartych wyłącznie na elektronice. *Lucky you* i *Anniversary of an uninteresting* napisane zostały jako utwory pozbawione ekspresji charakterystycznej dla reszty



płyty. Nie ma w nich ani gitar, ani „żywej” perkusji.

Jeżeli ktoś poprosiłby mnie o to, żebym zareklamował tę płytę, polecił ją tym, którzy nie znają *Deftones*, to powiedziałbym mu żeby się odchrzaniał. Tak naprawdę chciałbym być jedynym jej słuchaczem. Dzielenie się z innymi takim utworem jak *Minerva* ma w sobie coś z ekshibicjonizmu. Ten utwór jest mój, wyraża to, co myślę. Czemu inni mają o tym wiedzieć? Dla czego więc polecam tą płytę teraz? ODCHRZĄNCIE SIĘ.

ZDECYDOWANIE NIE WARTO:

ICH TROJE – Tym razem zastanawiałem się, która płytę wybrać. Zdecydowałem, że przejadę się po całej twórczości, a raczej po zjawisku, jakim jest ten zespół na polskim rynku muzycznym. Zainspirowała mnie jednak płyta *Po piąte...a niech gadają*. Skoro sam zespół pozwala...warto potraktować to jako rzuconą rękawicę. Pozostaje jednak pytanie – co powiedzieć? Potraktować *Ich Troje* poważnie, czy raczej jak Gołota grzmotnąć poniżej pasa – obśmiać? Po przemyśleniach, doszedłem do wniosku, że jedno nie musi wykluczać drugiego. Formuła zespołu jest tak pojemna, że nie sposób pisać o nich bez wybuchów śmiechu. Już sama postać lidera zmusza do zredefiniowania pojęcia WOKALISTA. Jeżeli atrybutem wokalisty jest otwieranie buzi i wydawanie chrapliwych odgłosów, po których masz ochotę odchrząknąć, to ów lider zasługuje na miano wokalisty. Zdominowanie zespołu przez tak dalece charyzmatycznego wokalistę, że za każdym razem musi on podkreślać, że jest jaki jest skłania mnie do dokonywania oceny *Ich Troje* przez pryzmat jego osoby. Pominę więc resztę zespołu, jako mało znaczącą w procesie twórczym. Zresztą w każdym tercecie, czy to egzotycznym czy teologicznym musi być jakiś lider. Cóż zatem można powiedzieć o twórczości kompani muzycznej z trójca w nazwie? Jest jaka jest. Muzyka wpisana w kwadrat – solidna, zbudowana na bazie marszowej, w której biesiada przeplata się z pytaniami egzystencjalnymi, w sferze przekazu operetka z postmoderną. Można powiedzieć, że polsatowskie *disco polo* na fali krytyki, która stanowiła dla niego antytezę stworzyły syntezę w postaci biesiadno – egzystencjalnego popu. Odbiorca znalazł w twórczości *Ich Troje* esencjonalny strumień pytań i odpowiedzi skondensowany w dialektycznym splocie teatralnego spektaklu i egzystencjalnej prozy. Muzyka musi trafić do nastolatów, którzy w wyniku przymusowej abstynencji szukają mocnych wrażeń, śpiewając z liderem – tak cię kocham, że się dla ciebie zabiję. Trzeba zatem zauważyć, że poszukiwanie ekstremalnych wrażeń nie ogranicza się wyłącznie do sportu. Grecka tragedia inscenizowana w pierdyszewie pozwala liźnąć nieco kultury w czasie, gdy media karmią nas teleturniejami i serialami, w których klan złotopolskich siedzi na plebanii i wzorem kiepskich i bądziwiaków omawia co zdarzyło się na wspólnej z Antonellą, Mirandą czy inną brazylijską pięknoscią. Z tego wynika, że zjawisko *Ich Troje* ma wszystkie cechy, które pozwalają uznać je za kulturotwórcze. Dla czego więc – można zapytać – poprzedzam ten wywód zastrzeżeniem, że nie warto? Z prostej przyczyny – bo ich nie lubię. Nie muszę przecież tego tłumaczyć. Jestem jaki jestem, a kto się ze mną nie zgadza może tego nie czytać. W przeciwieństwie jednak do *Ich Troje*, ja nie reprezentuję Polski w festiwalu międzynarodowym, nie pretenduję do miana mecenasa polskiej sceny muzycznej. W końcu nie stać mnie na

Harleya i wytatuowanie sobie orla na plecach. Mając jednak świadomość tego, że nie potrafię śpiewać – to mnie łączy z liderem zespołu – nie kaleczę piosenek Franka Sinatry i innych klasyków, co nągminnie robi ów wokalista, który swoje prywatne życie wycenił na milion dolarów.

Co mogę poradzić tym, którzy dostaną płytę Ich Troje w prezencie (nie sądzę, że osoba, która to czyta, z własnej woli zdecyduje się na taki zakup)? Żeby tym ,którzy robią takie prezenty odwziedzić się pięknym za nadobne. Kupcie im jakąś dobrą książkę. Będą się wkurzać, że dostali następny mebel, który w tym wypadku będzie im służył jedynie jako narzędzie zbierania kurzu. A co zrobić z płytą, która stała się waszym meblem? Można zrobić prezent jakiemuś siedmiolatkowi albo ozdobę, która genialnie będzie się komponować z segmentem pełnym kryształów, sztucznych kwiatów i książek wydawnictwa *Reader's Digest*. Okładkę zaś, można przyczepić do drzwi wejściowych. Będzie ona skutecznie odstraszać Świadków Jehowy. Zostanie już tylko puste pudełko, które zawsze się przyda, chociażby jako symboliczny przykład, pustki w jakiej znalazła się nasza kultura.

Inna forma

Grupa poetycka „Zawrat”

lepka kropla goryczy
wspłynęła do kałuży
rzeczywistości kolistą
fala początkowo wywołała
ironiczny uśmiech lecz
ten szybko przeszedł w
sarkazm by w końcu
przybrać postać rozpacz

wszystko co pierwszym się
wydaje jest dalszym akapitem
w świętej Księdze Natury

błogosławieni analfabeci !

studium

złość...ściśnięta pięść
drżenie powieki smak
krawędzi...
owad opasły krzykliwie
ptaki zawsze zbyt bliski
sąsiad...
iskier gry chaotyczne
rosnąca entropia dnia...
... złość bezsilna :
- kurwa w noc bezczynną
- złodziej w pełni księżyca
- żebrak wśród swoich
smutek złości bezsilnej
dzień bez ciebie chwila z tobą

ARS POETICA (Urodzeni mordercy) Jarosławowi Pięckowi

Obraz świata zamknięty w żrenicy
palcami sztywnymi próbujemy
utrwalić na kliszy kartki. Iść na
łowy musimy w gąszcz pamięci ;

ścigać i chwycić, odzierać ze skór,
zaglądać do wnętrza krwawiących.
część natury z lasu przedwiecznego.

Niech słowo nie szuka jednorożca ;
powinno niczym boski myśliwy
tropić zwierzę bez nazwy o białej
maści i dziwnej narośli na łba

zwieńczeniu. Jarku – mordujemy by
tworzyć; tworzymy by choć nikłą
drobinę świata podtrzymać jeszcze
chwilę przy życiu. Tak każe instynkt.

Jarosław Jan Żejmo

Halldor Laxness „Dzwon Islandii”

Problemy niepodległości, losów historycznych i miejsca człowieka w świecie, należą do najczęściej podejmowanych przez pisarzy XX wieku i to niezależnie od szerokości geograficznej. Nie brak ich w twórczości pisarzy polskich (np. u romantyków), nie brak także wśród mało u nas znanych literatów z zimnej Islandii, tak mało u nas znanej. A tradycje niepodległościowe ma Islandia z pewnością dłuższe od Polski, jako że już od XIII wieku jej suwerenność przestała istnieć i stan ten trwał aż do 1918 roku.

To właśnie w okresie odzyskania niepodległości i jej ugruntowywania twórczość swą rozpoczynał najwybitniejszy pisarz islandzki, Halldor Laxness (właściwie Halldor Gudjonsson, pseudonim Laxness pochodzi od nazwy farmy, na której przyszedł pisarz spędzić swe dzieciństwo). W dziełach swych Laxness podejmował szeroką problematykę, niemniej jednak próba przedstawienia własnego kraju, oraz zapoznania z jego obyczajowością i historią obecne są we wszystkich powieściach tego wybitnego pisarza. Dlatego też w 1955 roku za „wyrzistą siłę epicką, która odrodziła wielką sztukę prozatorską Islandii” Halldor Laxness otrzymał Literacką Nagrodę Nobla.

Od historii nie uciekł też Laxness w jednej ze swoich najlepszych powieści, a mianowicie w „Dzwonach Islandii”, jednak jak sam przestrzegał utworu tego nie należy czytać li tylko jako książki historycznej. Przedstawia on tam bowiem nie tylko losy uciskanego przez Duńczyków ludu Islandii, ale także wyśmiewa się z islandzkiego heroizmu (bazującego na mitach), pokazuje człowieka, który sam w sobie ma winę i karę, który z pokorą znosi wszystkie spadające na niego nieszczęścia, nie załamując się i walcząc, niczym starożytny stoik, z tym co zwalczyć może, a poddając się temu, co od niego niezależne. Jest to, bez wątpienia, jeden z najciekawszych aspektów powieści.

Charakteryzując społeczeństwo islandzkie Laxness przedstawia relacje między możliwymi a uciskaną przez nich biedotą, która jednak nie stawia oporu, przyjmując, że co nie jest dane na ziemi, będzie dane w życiu wiecznym. Jedną z postaci powieści mówi: „Jesteśmy gminem, najlichszym tworem ziemi. Módlmy się o szczęście dla każdego możliwego, co zechce nam, bezbronnym, przyjść z pomocą. Nie nastanie jednak sprawiedliwość, dopóki sami nie staniemy się ludźmi”. Biedni są, zdaniem autora, największą siłą narodu islandzkiego i to oni będą stanowić jego opokę.

Charakterystyczne dla bohaterów nie tylko „Dzwonu Islandii”, ale większości dzieł Laxnessa, jest kierowanie się w życiu surowymi zasadami moralnymi, silny indywidualizm trafnie zawarty w słowach, że „czego człowiek nie znajdzie w samym sobie, tego nie znajdzie nigdzie”, a jednocześnie stale obecne poczucie wspólnoty losów. Surowy klimat Islandii, tej „skały pośród mórz”, silnie oddziałując na mieszkających tam ludzi, nieustannie walczących o życie z potężnymi siłami natury stwarza człowieka, który z podniesionym czołem podnosi się i upada, nie załamując się przeciwnościami.

Halldor Laxness, mimo, że zmarł ledwie 5 lat temu, to jest zupełnie nieznanym szerszemu gronu czytelników. A szkoda, bo to pisarz niezwykle ciekawy, zwłaszcza dla miłośników literatury skandynawskiej. W wydanej w 1971 r. biografii, Peter Mallberg pisał: „Islandzkie dziedzictwo pozostaje żywą siłą w utworach Laxnessa. Ta siła widoczna jest również w rozmyślaniach pisarza o dniu dzisiejszym, i w jego twórczych poszukiwaniach. Cała twórczość przeniknięta jest przeciwstawieniem między ojczystym i zagranicznym, własnym i cudzym, które to przeciwstawienie okazało się dla niego nader płodne”. Bo też pisarz to był znakomity..

Marcin Uścińowicz

Turcy, Arabowie, Tatarzy w oczach Polaków drugiej połowy XVI wieku.

Podróże były zawsze nieodłącznym elementem ludzkiego życia. Od zawsze istniały kontakty między narodami, grupami społecznymi, etnicznymi. Spotkania te warunkowały wspólne istnienie, relacje. Historia zajmując się badaniem dziejów szczególną uwagę poświęca stosunkom między narodami, one to często wpływały na przebieg wydarzeń, zawierane pokoje czy wypowiedanie wojny. Osoby, których relacje posłużyły tu za źródło nie umiały wyjść ponad chrześcijańskie widzenie świata. Stanisław Orzechowski (1513-1566) był

kanonikiem przemyskim i posłem na sejm z czasów panowania Zygmunta II, Mikołaj Krzysztof Radziwiłł (1549-1616) marszałkiem nadwornym litewskim, zagorzałym chrześcijaninem, Jędrzej Taranowski był komornikiem Zygmunta II, najprawdopodobniej chrześcijaninem. Uniknął tego zdaje się wydawać Erazm Otwinowski (ok. 1529-1614) arianin, który towarzyszył kasztelanowi chełmskiemu Andrzejowi Bzickiemu w poselstwie polskim do Turcji w 1557 roku.

Życie religijne krajów, które odwiedziły wspomniane osoby, było elementem, który wzbudzał najwięcej emocji. Do relacji ze zwyczajów, obrządków dołączali oni własne opinie, które wyrażały ówczesny stan świadomości, moralność, która funkcjonowała na ziemiach polskich. Warto zwrócić uwagę na sytuację cudzoziemca lub bardziej ściślej wyznawcy innej wiary w Rzeczpospolitej w drugiej połowie XVI wieku. Warto spojrzeć co miało wpływ na taką a nie inną postawę wobec innych wyznań. Reformacja istotnie wpływała na tę sytuację. Zygmunt August był nastawiony bardziej tolerancyjnie do nowinek religijnych niż jego poprzednik. Nie usuwał z dworu zwolenników reformacji. Edykt z 1550 roku nakazujący szlachcie porzucenie herezji nie znalazł odbicia w rzeczywistości. Stąd wniosek, że Polacy powinni w tamtym okresie nie piętnować za wszelką cenę religii innych niż chrześcijańska. Tym bardziej, że dają temu dowód w słowach: „Wiemy dobrze, iż Włosi, Francuzi, Hiszpani, są różne od siebie narody, nie tylko granicami, ale nawet obyczajami, i wszelkim między sobą różniące się obrządkiem”. (S. Orzechowski, *Kroniki Polskie...*, s. 11) Są to słowa świadczące o wewnętrznej tolerancji i rozumieniu odrębności narodowej. Jednak jak było naprawdę?

Nie pozostawia on wątpliwości, co do tolerancji religijnej. W „Dialogu” ostro krytykuje wiarę ewangelicką. Oskarża ją o przyczynę wszelkich niezgód, gniewu, niepokoju i braku moralności. Oskarżenia dotyczą także samej nauki, poznania, które według Polaków było tylko chodzeniem „po omacku”. Faktem jest, że ówczesne konflikty w związku z pojawieniem się nowych wyznań nie wpłynęły pozytywnie na relacje nie tylko międzynarodowe ale także wewnątrz polskie. W związku z tym nie zastanawia niechęć chrześcijan do innych religii. A często była ona podbudowana wręcz nienawiścią: „Pan Bóg nasze kraje za grzechy też nasze nawiedził, i mianowałem te ordy: Lutry, Zwingliny, Arcjany, Nowokrzęćce i tę inszą hałastę heretycką”. (M.K. Radziwiłł, *Peregrynacja...*, s. 67.) Można się domyślać, że nie miało to takich silnie negatywnych emocji u ludzi nie będących ściśle związanych z Kościołem katolickim lub będących innych wyznań.

Podróżowali przez stulecia po świecie polscy kupcy, dyplomaci, żołnierze i wielu innych. W Polsce szesnastowiecznej podróżowano z wielu powodów na ziemie leżące na południowy-wschód od granic Rzeczpospolitej. Z misją dyplomatyczną, w celach handlowych, wojennych czy w podróż do Ziemi Świętej.

Po wjeździe do Konstantynopola pierwsze co mogli zauważyć to turecka „bania” jak określa ją jeden z podróżników, która przewyższała dwie wieże kościoła św. Zofii. Jej wielkość Turcy uznawali za cud, że żadna inna wiara ich wiary nie przewyższy. Był to powód do dumy. Na jednym z placów nazwanego placem Athmeiden stał budynek, który posiadał trzy kolumny a jedna z nich była w kształcie węzów. Mikołaj Krzysztof Radziwiłł uznał to za pogański przesąd. Daje się w jego opisie zauważyć negatywny stosunek do opisywanych miejsc. I używanie w komentarzach takich słów jak: bałwochwalstwo, poganie, świadczy o niechętnym stosunku do tureckich symboli czy wierzeń.

Turcy kiedy zmarła bliska osoba wypuszczali w niebo pięć ptaków. Wierzyli, że w ten sposób pomogą one duszom zmarłych pomóc w ich cierpieniach za złe postępowanie za życia. Kiedy spotkał się z tym Mikołaj Radziwiłł w szpitalu w Damaszku wzbudziło to jego szacunek, ponieważ uznał, że wierzą oni tak jak chrześcijanie w czyściec. Jednakże była to w jego mniemaniu religijność niezbyt duchowa i niezbyt rozumiana przez samych Turków. Bardziej był świadomy zapalczywości tureckiej. I dziwiło go, że on jako chrześcijanin nie jest przez nich odpowiednio szanowany. Spotkał się z sytuacją kiedy był opluwany i wyszydzany.

Nie wzbudzała szacunku żadna forma przejawu religijności tureckiej. W oczach Polaka wyglądało to niezbyt przekonująco. W Kairze i Damaszku przebywali ludzie, którzy uchodzili za świętych. Byli to ludzie zwykle starsi, chodzący pół nago, ze zgolonymi brodami i włosami, żyjący z datków. Radziwiłł gdy ich spotkał nazwał ich bestiami, które skazane są na wieczną zgubę. To niezadowolenie wynikało z braku znajomości innych kultur, obiektywności. Turcy przedstawiali się jako „dziki” naród, któremu prawdziwa pobożność nie towarzyszy w życiu codziennym. Kolejny zarzut dotyczył nie przestrzegania nawet obowiązujących w ich religii zwyczajów. Szydł z Turków, że przestrzegają zakazu picia wina tylko do czasu kiedy się go im nie poda.

Bezbożność, poganie to słowa, które powtarzają się w każdej relacji. Jędrzej Taranowski, który wyprawił się z podróżą do Turcji Tatarów, a dokładniej Ordę nohajską opisał jako ludzi bezbożnych i bez czci. Zawarł także w opisie swojej podróży opis, niestety tylko usłyszany stąd trudno ocenić całkowitą jego zgodność, który pozbawił ten naród szacunku. Opisuje straszliwą sytuację głodu, która posunęła Tatarów do najgorszego. Faktem jest, że uważano ich za pogan. Jest to argument za niechęcią części Polaków do tego narodu: „Anno 1562 (...) A tak tego roku wielki głód był u nich, tak iż syn jeśli miał ojca starego, a mógł go zmódl, zabił i z drugim się podzielił, także brat rodzony brata, albo sam kto też umarł albo dziecię, tedy potajemnie wykopawszy zjedli. A teraz dla tego aby się ich więcej mnożyło, mieszkają jako bestye, mnożąc się, a każdemu wolno mieć żon ile ich może pożywić”. (Podróże i poselstwa..., s. 47-48.) Trudno ocenić na ile przebarwił to Taranowski, jednak nie było to jak na ówczesne czasy pojedyncze zdarzenie.

To jednak nie zacierało aż tak bardzo wizerunku nie tylko Tatarów. Starano się szukać cechy w religijności, które nie budziły aż tak wielkiego odrzucenia. Szukano ich przede wszystkim w podobieństwach z katolicyzmem. Nie odnoszono się źle do uznawaniu świętości wody, która u Turków „obmywa” grzechy i uzdrowia ciało.

Podróże Polaków nie przyniosły pozytywnych wrażeń. To z czym się zetknęli, nie pomogło im wyzbyć się niechęci do Turków, Tatarów, czy innych napotkanych narodów, grup etnicznych. W ich oczach religijność ta nie była godna podziwu, wręcz przeciwnie, budziła niechęć i niezadowolenie. Moralność, z którą się spotkali wydawała się im niegodna ludziom, nazywając napotkane ludności „bestiami”. Można przypuszczać, że po powrocie do Rzeczypospolitej swoje relacje przedstawiali wielu osobom. Wielu było ciekawych co zobaczyli, z czym się spotkali. Chrześcijaństwo tryumfowało na tle spotkanych wyznań. Wierzono, że wszelkie zło pochodzi od „heretyków” jak zwykli nazywać wyznawców innych religii.

Spojrzenie wyłącznie na relacje o pobożności innych narodów tj. Turków i Tatarów nie dało by nam możliwości spojrzenia szerszego na obraz cudzoziemców w oczach Polaków. Aby poznać relacje nie przez pryzmat chrześcijanina, a zwykłego człowieka. Ważnym jest zapoznanie się z ich zdaniem głębiej w nich zakorzenionym. Dotyczącym już nie religijności a samej postawy, zachowań, życia codziennego, z którymi się podróżnicy spotkali i stereotypów, którym hołdowali lub które sami tworzyli.

Naszym podróżnikom nie obce na pewno były kosztowności, dostatek. Jednak odwiedzając Turcję wielkie wrażenie na Erazmie Otwinowskim zrobiły uliczne kramy bogato oferujące wszelkie towary. Podziwiał materiały, akcesoria wojenne, wyroby ze złota, srebra i innych drogich kamieni. Wzbudzało to w nim niestety nie zachwyt ale było przedmiotem niepotrzebnego zbytku. To bogactwo spotykał wszędzie. Kiedy został zaproszony wraz z kasztelanem Bzickim na ucztę podziwiał wystawność stołu: „...tam słudzy poselscy zastawiają, gdzie nam także przykrywszy ono miejsce kobiercy, skórami i obrusami, nastawiano pełno rozmaitych potraw, kur, baraniny, ciast smażonych, gołębi pieczonych i kasz rozlicznych barw, chleba białego osobliwego po sztuczce miotano przed każdego, i po łyżce malowanej drewnianej. Przy onym obiedzie dawają w czasach glinianych wodę cukrowaną bardzo dobrą pić, i potem zaś wodę prostą kto chce”. (Tamże, s. 15.). Już bardziej przychylnym okiem spoglądał ta to niż na przepych kramów. Trudno było nie chwalić tak wystawnego przyjęcia.

Zainteresowanie wzbudzały także inne narodowości tam napotkane. Mikołaj Radziwiłł tak przedstawił ujrzanych w Turcji mieszkańców Indii: „Widziałem też w ten czas dwóch Murzynów z Indyi wschodniej, kupców, którym się twarze bardzo łśniły. Przyszedłszy blisko, pytałem, ktoby był, powiedzieli, że kupcy, którzy kamienie drogie przedawają, na znak tego mieli kamienie wprawione jakieś czerwone, łśniące, jako laskowy orzech, w czoło jeden, a w każdy policzek po jednemu, że jako w maszkarach byli”. (M.K. Radziwiłł, op. cit. s.19.) Po ujrzeniu przybylszy zastanawiał się jak owe kamienie umieścili na swoich twarzach. Podróże były cennym źródłem informacji dla ówczesnych. Zdziwienie wynikało z braku kontaktu z innymi narodowościami. Przedstawieni ludzie nie wzbudzali zbytniej niechęci, raczej ciekawość.

Ciekawość wzbudzały zwyczaje. Radziwiłł spotkał w swej podróży Arabów, którym poświęca dużo miejsca w swej relacji. Dokładniej jest to przedstawione w dalszej części. Opisuje jeden ze zwyczajów: „Tamże przysięgę uczynił wedle swego obyczaju, prawą ręką tknął czoła, a wejrzał w niebo”. (Tamże, s. 56.) Uznał to za godne zrozumienia, i taka przysięga wydała mu się godna zaufania. Niestety dotyczyła ona transakcji z kimś innym i trudno stwierdzić czy przyjąłby ją w własnym interesie. Dowodem na to jest inny ze zwyczajów, przyjętych praw, który wzbudził niezadowolenie w podróżniku. Kiedy przede wszystkim musiał oddać własne dwa konie Turkowi, który zbierał lud na wojnę perską w Palestynie i Egipcie. Śmieszność, ale i niewielką grozę wzbudziła sytuacja, która wydarzyła się podróżnikom w czasie odpoczynku. Jeden z podróżników podkreślał sobie węża do góry. Przyglądający się temu Turek zaczął przeklinać tę osobę, gdyż w Turcji obyczaj ten uchodził wtedy za szczyt bezczelności.

Czytając relacje z podróży i poselstw zauważa się duży brak zaufania do cudzoziemców. Dotyczy to przede wszystkim spraw finansowych. Widoczne jest także złe zdanie o ogólnym zachowaniu. Zarzuty to przede wszystkim chciwość zaspokajana każdym kosztem. Opisane są sytuacje, które w istotny sposób wpłynęły na taki pogląd. Ponieważ nie o wszystkich z góry myślano źle. Spotkanych w Jeruzalem Afrykańczyków określili jako przyjaznych i godnych zaufania. Niechęć wiązała się z tym, że cudzoziemcy wykorzystywali każdą sytuację by zarobić jak najwięcej: „Kady turecki, skoro się dowiedział, zaraz za namową jednego Greka (...) pobrał żagiel i liny, abyśmy odjechać nie mogli, aż byśmy mu co dali (gdyż Turcy z tego żyją, co wydrą, a wypotwarzą u chrześcijan). (Tamże, s. 13.) Było to niemiłe zdarzenie na początku podróży, które wpłynęło na późniejszy obraz. Tym bardziej, że sytuacje się powtarzały, tylko janczarowie, których posiadali ze sobą chronili ich przed kradzieżą. W dalszych relacjach Radziwiłła powtarzają się słowa o chciwości Turków. Dotyczyło to np. w sytuacji kiedy mieli wnieść chorego do wieczernika. Spodziewali się za to zapłaty. Te niekorzystne zdanie wynikało z obserwacji. Kiedy zauważył mężczyznę, który pił z Turkami na jego koszt powiedział: „bo jako Turcy obaczają, że kto pieniędzy nie szanuje, radzi go więc przypilnują”. (Tamże, s. 75.)

Poprzez częsty kontakt z Arabami zdołał ich poznać doskonale. Niestety nie było to zdanie najlepsze. Oskarżał ich o nieuczciwość, brak zasad i chciwość. A podarunkami można u nich łatwo wykupić wolność. W

jego oczach uchodzili za najgorszych złodziei. Okradali karawany ze wszystkiego a ochronę zabijali. Nie można było żadnego z nich oskarżyć, ponieważ nikt nie wiedział gdzie się mogą znajdować. Podobnie oskarża Egipcjan.

Pomimo tych fatalnych, wręcz demonizujących opinii nasi podróżnicy cenili przede wszystkim w cudzoziemcach ich wyszkolenie wojskowe, dyscyplinę jaka panowała w ich szeregach. Budziła podziw w ich oczach twardość w boju, nieustępliwość i doskonała wytrzymałość trudów walk. Ciekawym w ich poglądach jest ten fakt. Jędrzej Taranowski, który tak niechlubnie opisywał Tatarów, tak pisał o ich walorach wojskowych: „...a ku temu, że nędzę przywykli cierpieć, głodu ani pragnienia się nie boją, tak iż trzy dni bez jedzenia i bez picia być mogą, także i konie ich, by się jeno trawy i rosy najedli”. (Podróże i poselstwa..., s. 55.) Wojska tureckie, z którymi zetknął się Otwinowski już podczas pobytu na uczcie, chwalił za ich doskonałą dyscyplinę. Podziw dla waleczności Arabów podnosił Radziwiłł, których wytrzymałość w boju wydała mu się ponad ludzkie siły: „bo Arabowie, tak sami, jako i konie, głód i pracę dziwnie znoszą i tak Turkom straszni, że gdy będzie dziesięć Arabów z strzałami długimi, tylko w koszulach (i to jedno do południa, po południu dla gorąca to koszulę na łeb zawinie pospołu z zawojem, a sam na szkapie naguchno siedzi), trzydziści Turków zbrojno z rucznicami nie pokusi o nie”. (M.K. Radziwiłł, op. cit. , s. 22.) Jak wynika z przedstawionego fragmentu podróżnik ganił tchórzostwo Turków chwalać Arabów, którzy w oczach Polaków przedstawiali się najkorzystniej, jako naród nieustępliwy, chytry i wytrzymały. Walory wojskowe budziły duże zainteresowanie. Były wyrazem szacunku, na który w oczach Polaka drugiej połowy XVI wieku trzeba było zasłużyć.

Kontakty z cudzoziemcami były kształtujące. Podróże pozwalały poznać inne kultury, obyczaje. Pomagały zrozumieć innych. Nasi podróżnicy nauczyli się wiele. Należy uważać, że umieli wykorzystać swoją wiedzę umiejętnie. Nie dziwi brak pozytywnych odczuć. Powodowane to było, o czym już wcześniej było wspomniane, chrześcijańską wizją świata, brakiem wcześniejszego kontaktu z innymi kulturami, posługiwanie się stereotypami. Pozytywnym oddźwiękiem może być przynajmniej to, że Polacy umieli z zastanych sytuacji wyciągać wnioski i być krytycznymi dla siebie. Orzechowski pisał w „Ziemianinie”, że Polacy są gorsi niż Turcy. Ciekawe, jak oceniliby współczesnych (dzisiejszych) Polaków...Tego się jednak nie dowiemy.

DAMAT

Bibliografia:

1. Orzechowski S., Dyalog albo rozmowa około exekucyi Polskiej Korony, wyd. K.J. Turowski, Kraków 1858.
2. Orzechowski S., Kroniki Polskie od zgonu Zygmunta I, wyd. T. Mostowski, Warszawa 1805.
3. Orzechowski S., Ziemianin albo rozmowa ojca z synem o sprawie Polski roku 1565, wyd. Ż. Pauli, Kraków 1859.
4. Podróże i poselstwa polskie do Turcyi, wyd. K.J. Turowski, Kraków 1860.
5. Radziwiłł M.K., Peregrynacja do Ziemi Świętej (1582-1584), wyd. J. Czubek, Kraków 1925.



